Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuj każda poczta!

egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. **Niedziela, dnia 3 marca 1935 r.** Nr. 9



Z ODDALI

Byliśmy razem... los zrządził inaczej —
Odeszłam w świat, w dalekie, obce strony,
A dwojga sercom los przypadł tułaczy,
A dwojga duszom — pieśni tęsknej tony.

W dzień cichy, wiosenny, powrócą ptaki,
Co sznurem długim w jesiennym odlocie,
Lecąc błękitem, jak senne majaki —
Drogę przesmutnej znaczyły tęsknocie...

Nie wrócę... będziesz czekał dni, miesiące...
Nieraz zatęsknisz, ale twoje „credo"
Będzie ci słońcem w długich dni rozłące
I będzie serdeczną uczuć twych schedą.

Powrócą ptaki, tylko ja tułaczy
Ptak wichru, nie wrócę w potoku słońca...
Lecz czekaj... aż los mi powrót naznaczy!...
Czekaj... aż złączy nas fala płynąca.

„KALINA".

MARJA REUTT

Co silniejsze?

Czyli „Miłość, czy obowiązek"

2.

— Zosiu, Emilko — zawołała — chodźcie do ogródka. Co mamy siedzieć w pokoju. Za parę dni wakacje, więc i tak nie poprawimy sobie już stopni w tym krótkim czasie.

Zosia i Emilka jak gdyby tylko czekały na zachętę, bo zamknęły czemprędzej książki i zeskoczyły sprężyście z krzesełek.

— Idziemy.

Helenka znów wetknęła nos w podręcznik i usta jej cierpliwie odczytywały fakty historyczne i wbijały je sobie w pamięć.

* *

*

Wiesz, to jednakże straszne mieć wuja rakarza lub kata — mówiła Roma do towarzyszek, schodząc na dół.

— No, tak, — potwierdziła Zosia — nie wiemy jednak napewno, czy wuj Helenki jest hyclem lub katem.

Roma zbagatelizowała wątpliwości koleżanki.

— Moja droga, gdyby był kim innym, napewno nie otaczałby się taką tajemnicą i nie ukrywał swego miejsca zamieszkania przed siostrzenicą na której wychowanie łoży i nie żałuje kosztów.

Przekonała je. I nagle w dobrych niezepsutych dziecięcych duszach dwóch dziewczynek zatlił się płomyk lekceważenia lubianej dotąd bardzo koleżanki, rozżarzony przez głupotę zarozumiałej, ograniczonej towarzyszki.

* *

*

W końcu maja rozjechały się wszystkie pensjonarki do domów. Rok szkolny był już ukończony. Nie miały czego siedzieć w dusznej hałaśliwej Warszawie, gdy po wsiach i dworach kwitł bez, narcyze, kosaćce, jabłonie i grusze, śpiewały słowiki, świergotały wróble i skowronki.

* *

*

Trzy przyjaciółki pożegnały się z Helenką bardzo ozięble, one które dotąd rzewnemi łzami oblewały każde z nią rozstanie i gorąco zapraszały do siebie.

Tą razą nie prosiły, by pisała do nich, nie żałowały jej, że pozostaje na pensji na czas wakacji.

— Siostrzenica rakarza... brrr... Jakie to nieprzyjemne.

*

* *

Helenka nie umiała wytłumaczyć sobie czemu i komu zawdzięcza nagłe ochłodzenie się jej miłych stosunków koleżeńskich z Emilką, i Zosią trwających lat kilka i ich tak oziębłego pożegnania się z nią.

O Romę i jej przyjaźń nie dbała. Nie lubiła tej ograniczonej, nadętej, zarozumiałej dziewczyny od pierwszych jej dni pobytu na pensji. Córka obywatela z okolic Pabjanic dokuczyła jej nieraz swoją wyniosłością, drażniła głupotą i lenistwem.

Uważała się za śliczną, dystyngowaną, rozumną, a w rzeczywistości była rozkapryszoną, rozgrymaszoną dziewczynką, słabą uczenicą, złą koleżanką.

Gdy gwarna zazwyczaj pensja opustoszała i klasy i sypialnie ziały pustką i ciszą Helenka zaszywszy się w kącik za firanką wybuchnęła płaczem. Serduszko jej sieroce ściskał żal za utraconą przyjaźnią, za tem czemś nieuchwytnem, co już nigdy nie wróci, nie będzie już tem co dawniej.

Po wakacjach zanoi się pensja, klasy, zabrzmią gwarem wrócą tu niczem jaskółki z za morza rozbawione, roześmiane dziewczątka, ale nie wróci już do serduszka Helenki ta dawna tkliwość dla przyjaciółek, nie wrócą te chwile pełnych zwierzeń i wspólnych marzeń.

Serce ludzkie to harfa o strunach czułych, które raz zerwane nie dadzą się związać... Trzeba je będzie odrzucić precz.

* *

*

Popłakała jeszcze trochę w nocy, przez trzy dni chodziła po opustoszałych salach blada, markotna, milcząca.

— Tęskni za koleżankami biedactwo zadecydowały nauczycielki. Pocieszały ją jak umiały. Okarmiały słodyczami, brały ze sobą do miasta, gdy wychodziły za sprawunkami.

Po paru dniach uspokoiła się i odzyskała swój zwykły pogodny wyraz. Z przyjemnością myślała o swoim, jak corocznie, wyjeździe do Chyliczek, szkoły gospodarczej, założonej i prowadzonej również przez hrabiankę Plater.

Lubiła zazwyczaj pobyt w tym zakładzie.

Pomagała w lżejszych zajęciach gospodarczych, biegała po ogrodzie, folwarku, po polu, jeździła wozem drabiastym po siano lub snopki, obierała owoce na konfitury i kompoty, chodziła do pobliskiego lasu na grzyby.

A mimo to liczyła dnie dzielące ją od powrotu na pensję, wykreślając je czerwonym ołówkiem na ściennym kalendarzu.

*

* *

Na dwa dni przed odjazdem do Chyliczek, gdy z zapałem przeglądała zeszłoroczne książki i kajety i układała je systematycznie w swej szafeczce, podeszła do niej panna Zofja, kierowniczka szkoły, z depeszą w ręku.

— Jesteś wezwana Helenko na pogrzeb wuja...

Dziewczynka upuściła książkę na ziemię i spojrzała ze zdumieniem na przełożoną.

— Na pogrzeb wuja? — powtórzyła — przecież ja go nie znałam.

— Ale twoim obowiązkiem jest jechać, tembardziej, gdy cię wzywają, gdyż tylko jemu, temu zmarłemu wujowi, zawdzięczasz, że uczysz się u nas, jego wspaniałomyślności i dobroci.. Dziewczynka schyliła główkę na znak posłuszeństwa, w jej małej duszyczce zrywał się jednak bunt i żal.

— I cóż, że płacił za nią, kiedy nie chciał jej widzieć, nie pisał do niej, nie pytał nigdy o nią... ani on, ani jego żona. Co jej po takiej dobroci! Ona tak tęskniła nieraz za pieszczotami, za troskliwością, za serdecznością...

Panna Zofja podała jej trzymany w ręku papier. — Masz, przeczytaj sobie —

— Proszę wysłać natychmiast Helenkę Polchowską na pogrzeb wuja. Stop. Sprawić żałobną sukienkę. Stop. Telegrafować godzinę przyjazdu.

Dworanowicz Wysocka.

Wargi dziewczynki wygięły się łukiem niechęci.

Nie miała ochoty jechać na pogrzeb nieznanego wuja, który poza opłacaniem jej nauki, nie troszczył się o nią wcale. Nie od niej to jednak zależało, nie rozporządzała sobą. I nazajutrz rano jasnowłosa szczupła czarno ubrana dziewczyna wsiadła do pociągu pospiesznego idącego w stronę Łodzi.

* *

*

Przed oczami Helenki migały pola, wsie, lasy przerzedzone, o drzewach robiących wrażenie uschłych przedwcześnie, nędzne miasteczka, zaniedbane budynki stacyjne, gdyż pociąg zatrzymywał się tylko na większych stacjach; miarowo stukały koła pociągu.

Siedziała sama w przedziale dla kobiet drugiej klasy. Obok, w sąsiednim dla palących, sprzeczało się dwóch p...nów; dobiegały ją od czasu do c... urywki rozmowy, wymawiane tubal... podniesionym tonem, oponował mu ... cieńki, piskliwy, trochę sepleniący. ...zmowa to cichła, to nawiązywała się znów. Mówili o eksporcie i imporcie, o pozwoleniach na przywóz towarów zagranicznych o inwestycjach, hipotekach i innych zamądrych dla niej rzeczach. Padały ustawicznie obce, nieznane jej wyrazy, zawiłe terminy handlowe.

Ogarnęła ją senność. Oparła główkę o poręcz siedzenia i usnęła.

Obudziło ją delikatne pociągnięcie za brzeg sukienki.

Otworzyła oczy. Przed nią stał niski, krępy konduktor.

— Proszę pani dojeżdżamy. Pabjanice.

Zerwała się. — Dziękuję panu —

Pospiesznie włożyła berecik na jasne włosy, naciągnęła rękawiczki, przerzuciła przez ramię paltocik i zdjąwszy niedużą podróżną walizkę z siatki, z biciem serca czekała na ukazanie się stacji.

Pociąg zwolnił biegu; koła zaczęły postukiwać nierówno na zwrotnicach, które przejeżdżał, kierując się na pierwszy tor; wreszcie zgrzytnęły hamulce i sapiąc ciężko stanęła lokomotywa. Helenka zeszła ze stopni i zatrzymała się onieśmielona, zastrachana krzykliwym gorączkowym ruchem fali podróżnych, która niby wzburzone bałwany przelewała się koło niej, popychając dziewczynkę i poszturchując w pośpiechu.

Gdzie iść, do kogo się zwrócić? — zapytywała się siebie, przestraszona tą obojętną, brutalną ciżbą ludzką, bliska łez.

— Czy to panienka Polchowska? — usłyszała pytanie, które wydało jej się chórem anielskim. Odwróciła się w stronę, skąd rozległ się głos; w tej samej chwili potrącona, omal nie upadła, gdyby nie podtrzymała jej stojąca obok kobieta.

— Co za brutale — oburzyła się nieznajoma, — popychać dziecko! —

— Chodźmy panienko.

Ujęła ją za rękę i prowadziła przed sobą, torując łokciami drogę wśród rozgorączkowanego tłumu.

Zeszły ze schodów i wsiadły do eleganckiego, popielatego samochodu.

Helenka dopiero teraz zauważyła, że prowadząca ją kobieta ubrana była w czerni i szofer nosił czarną opaskę na ręce.

Czuła się bardzo onieśmieloną. Nie miała pojęcia, kim była osoba, siedząca obok niej i gdzie ją wieziono. Siedziała sztywno, z rękami złożonemi na kolanach, mimowolnie odmawiając pocichu „Pod twoją obronę".

— Już dojeżdżamy — oznajmiła jej towarzyszka, gdy szofer skręcił z szosy w aleję brzozową.

Słońce zniżało się ku zachodowi, czerwioną łuną rozlewając swe promienie po obłokach.

Na tle tej czerwieni odżynała się jasno, wypukle okazała willa z wieżyczkami i kamiennemi tarasami, ocieniona lipami i kasztanami. Na jednej z wież powiewała czarna chorągiew.

Przemknął cicho samochód po żwirem wysypanej alei, okrążył gazon, zatrzymał się u podjazdu.

Pierwsza wyskoczyła kobieta w czerni i pomogła wysiąść dziewczynce. Lokaj, który otworzył im drzwi, wyjął walizkę z auta.

Kobieta poprowadziła dziewczynkę schodami na górę.

Helenka szła jak we śnie po kamiennych stopniach podjazdu, po szerokich, rzeźbionych, wysłanych suknem schodach, po korytarzu o dużych weneckich oknach, gdy wreszcie zatrzymały się przy ostatnich drzwiach. Towarzysząca jej kobieta nacisnęła klamkę i olśnionym oczom Helenki ukazał się śliczny, biały pokoik. Ściany powleczone białą w blado-niebieski rzucik materją, biało lakierowane mebelki, blado-błękitny dywan i o tym samym odcieniu wisząca lampa dopełniała całości wytwornej i wygodnej.

Kobieta zauważyła zachwyt dziewczynki.

— Ten pokój zamieszkiwała mamusia panienki i nasza pani przeznaczyła go dla panienki.

— Mamusi pokój!

Weszła do niego jak do świątyni. Złożyła rączki i rozglądała się z rozrzewnieniem po jasnych ścianach, po białych mebelkach, jakby na nich szukając śladów pobytu w nim jej nigdy niezapomnianej mamusi.

Wszystkie bolesne wspomnienia odżyły nagle w sercu dziecka. Przesunęły się przed jej oczami okropne chwile ubóstwa, gdy mieszkały na poddaszu kątem u jakiejś gderliwej, starej nauczycielki, która gniewała się o każdy kawałek drzewa użyty na ugotowanie jedzenia, o każdy dzbanek wody, wzięty do mycia, o otwieranie lufcika w czasie zimy, o zbyt częste wychodzenie z mieszkania. Musiały jednak znosić wszystkie te przykrości w milczeniu, bo płaciły jej tylko 4 złote miesięcznie za ten kąt, w którym stało ich łóżko, kuferek i stolik.



SVEN HEDIN
znany podróżnik szwedzki, mimo podeszłego wieku szykuje nową ekspedycję do Centralnej Azji.

Potem przyszła choroba i śmierć matki. Przyszła niespodziewanie, a może długo czaiła się zdradziecko, by nagle rzucić się na swą ofiarę, powalić ją i zdusić.

Chorowała tylko dwa dni — trzeciego już było po niej. Umarła z ostatnim, żałosnym okrzykiem, zastygłym na ustach: — Dziecko, moje dziecko...

Łzy potoczyły się po pobladłej twarzyczce dziewczynki. Otarła je szybko i ukradkiem, by stojąca kobieta nie zauważyła tego.

Machinalnie zdjęła kapelusz i rękawiczki podczas, gdy służąca nalała ze dzbanka wody do miednicy.

— Panienka może zechce się obmyć po podróży, a ja pójdę zameldować naszej pani o przyjeździe panienki.

Już od progu dodała w formie przedstawienia się:

— Jestem panną służącą, na imię mi Kamilla.

— Dziękuję pannie Kamilli — odpowiedziała Helenka, uśmiechnąwszy się wdzięcznie do odchodzącej.

Zostawszy sama, zdjęła sukienkę, obmyła sobie twarz i ręce, przygładziła wijące się dookoła twarzy jasne włosy i zaledwie zdążyła narzucić na siebie sukienkę, gdy od drzwi rozległo się pukanie i do pokoju weszła wysmukła pani, lat koło pięćdziesięciu, o surowej, choć ładnej twarzy i chłodnem badawczem spojrzeniu ciemnych oczu.

Podeszła do onieśmielonej dziewczynki i lekko dotknęła ustami jej włosów.

— Jaka podobna do matki — przemknęło jej przez myśl i mimowolna niechęć i żal do zmarłej nikłą iskierką rozżarzyły się w popiele przebaczenia.

— Posłałam po ciebie dziecko, gdyż zmarły wuj był twoim jedynym najbliższym krewnym i opiekunem. Sama przyzwoitość wymaga twej obecności na tym smutnym obrzędzie.

Wzięła ją za rękę.

— Chodź, każę ci dać coś do zjedzenia. Obiad będzie dopiero za dwie godziny.

Poprowadziła ją znów tym samym korytarzem w dół. Schodząc, nacisnęła dzwonek, umieszczony na ścianie.

— Proszę podać panience herbatkę i parę kanapek z pasztetem w srebrnym saloniku — rzuciła rozkaz lokajowi, który czekał na nią na dole, a sama z siostrzenicą skierowała się do sali na prawo.

Panował tu chłód i półmrok, pachniało żywicą i kadzidłem. Na środku sali stała na katafalku trumna, oświetlona dwunastoma świecami. Z bijącem sercem szła Helenka za wujenką, aż do samej trumny, by poraz pierwszy i ostatni spojrzeć w twarz brata swej matki.

Rzeźbione rysy, szlachetny zarys głowy, zacięte boleśnie usta i kamienny, dostojny spokój majestatu śmierci — zrobiły na dziewczynce wielkie wrażenie.

Stopniała w jej sercu uraza do nieznanego krewnego, zapanowała natomiast wdzięczność.

— Przecież gdyby nie on, czyżby mogła kształcić się na pensji jako równa równym sobie, nie odczuwając braku niczego, nie doznając upokorzeń, jakie są udziałem biednych dzieci, chowanych z bogatymi w drogich zakładach naukowych.

Uklękła i modliła się gorąco za jego duszę, dziękując mu za dobroć i wspaniałomyślność w stosunku do niej.

Podniosła na umarłego opuszczoną na dłonie głowę i zobaczyła jak wujenka z tkliwą pieszczotą musnęła czoło trupa, poprawiła koronkę poduszki, zacisnęła odstające palce. Usta jej drżały, na rzęsach perliły się łzy przy tych czynnościach.

Nie było jednak wzruszenia na bladej twarzy, ani w wyrazie ciemnych oczów, gdy zwróciła się do dziewczynki.

— Idziemy —

*
* *

Z zimnego mroku i cieni śmierci wyszły znów na słońce i ciepło.

W gustownie umeblowanym saloniku, zalanym złocistemi promieniami letniego upalnego dnia lipcowego, opowiadała ciotce przeżycia swego dzieciństwa z jego dużemi smutkami i małemi, drobnemi radościami.

Gdy była tak zajęta opowiadaniem o swej doli zasłuchanej ciotce, do pokoju wszedł młody mężczyzna krokiem pewnym, energicznym. Był to Nel, jedyny syn i spadkobierca państwa Dworanowicz-Wysockich. W chwili śmierci ojca miał lat dwadzieścia jeden. Średniego wzrostu, ciemny blondyn o szarych oczach i pociągłej twarzy, przedstawiał typ pospolity najczęściej u nas spotykany, raczej przystojny niż brzydki.

Uczył się średnio, ukończył Chyrów z wynikiem dostatecznym i studjował we Francji inżynierję. Miał pociąg do maszyn interesowały go słynne francuskie przędzalnie, ale jeszcze więcej przybytki podkasanych muz Paryża.

Ojciec nie narzucał mu swej woli, nie robił żadnych uwag, nie skąpił pieniędzy, a gdy matka, zgorszona i zaniepokojona jego rozrzutnością, próbowała napominać jedynaka, ujmował się za nim.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

2.

— Nie jeszcze — sprostował orzeczenie to młody ajent o którym wspominaliśmy już parokrotnie. — Za dziesięć minut, zresztą conajwyżej, będzie istotnie już po wszystkiem. Niestety jednak! Nie powie on nam już jednego choćby tylko więcej słowa.

— Eh! — odpowiedział inspektor, powstając z kolan i starannie okurzając spodnie — i bez tego dowiemy się o wszystkiem. Przecież ten chłopiec jest żołnierzem i ma na guzikach munduru numer swego pułku.

Lekki uśmiech wybiegł na usta młodego ajenta.

— Obawiam się, że pan jenerał jest w błędzie — powiedział.

— Co takiego?! — zdumiał się Żewrol.

— Panie Jenerale!... mundur niczego nie dowodzi jeszcze i jestem prawie pewien, że ten nieszczęśliwy nie jest żołnierzem. Zechciej spojrzeć, jenerale, na włosy tego chłopca — jak bardzo są długie, niemal że na szyję mu spadają. Czyż w pułku pozwolono by na to, ażeby żołnierz był strzyżony nie według przepisów?

Uwaga ta nie mogła być dla inspektora zbyt przyjemną. Szybko się jednak opamiętał.

— Cóż ty sobie myślisz, że ja oczy w kieszeni noszę może? Spostrzeżenie twe i mojej nie uszło uwagi. Wytłumaczyłem je sobie jednak w ten sposób, że ten żołnierz był na urlopie, no i żałował pieniędzy na fryzjera.

— Lecz dość tej gawędy! — zakończył poirytowanym głosem. — Ten żołnierz przecież nie jest świadkiem jedynym, który opowiedziećby nam mógł o wszystkiem co dalej zaszło. Mamy ciotkę Szupę przecież, ta nie umarła, chwała Bogu!

Mówiąc to, inspektor szedł już ku starej, która nieprzerwanie siedziała na schodach, ciągle szlochając.

Żewrol szorstkim ruchem zdarł właścicielce szynku fartuch z głowy, a wtedy ukazała się jej twarz, zniszczona życiem, wódką i nędzą, twarz stara, pomarszczona, żółta jak pergamin, z ceglastymi wypiekami na wyrastających kościach policzkowych.

— Wstawaj, czarownico — zawołał inspektor — twoje płacze bynajmniej nas nie wzruszają. Do więzienia by cię wtrącić warto za te truczizny jakiemi tutaj swych gości raczysz.

Stara powiodła złemi i zaczerwienionemi oczami po całej izbie, a następnie zaczęła płaczliwym głosem:

— O, co za nieszczęście!... Co za straszne, niepowetowane nieszczęście spadło na mnie. Przecież ci łajdacy zniszczyli całe urządzenie mej kawiarni.

Czcigodna matrona biadała nad swymi potłuczonemi szklankami jedynie, leżące w jej domu trupy były dla niej najzupełniej obojętne.

— Gadaj no — zawołał Żewrol — w jakich okolicznościach rozpoczęła się ta bójka?

— A cóż ja wiedzieć mogę?... Dałam im wina, a potem poszłam sobie na górę naprawiać odzież mego syna, gdy wtem usłyszałam hałas i wymysły. Oczywiście rzuciłam się natychmiast w stronę schodów, lecz widziałam tylko tyle, że ci trzej byli stroną napastującą, zaś ten który pozostał i którego związaliście panowie, nie jest niczemu winien, biedaczek. Gdyby tak był tutaj, mój syn, Polyt, to byłby do bójki nie dopuścił napewno! Lecz ja, słaba kobieta, cóż poradzić mogłam? Krzyczałam tylko ile mi sił starczyło.

Po wypowiedzeniu tych słów, stara jędza z powrotem usiadła na stopniu, dając tem do zrozumienia, że już powiedziała wszystko.

Ale Żewrol brutalnie postawił ją z powrotem na nogi.

— Jeszcześmy nie skończyli naszej rozmowy — powiedział — musisz nam udzielić nieco więcej szczegółów.

— A to jakich? — hardo odpowiedziała szynkarka — kiedy ja nic nie wiem i nic nie widziałam.

Inspektorowi zaiskrzyły się gniewem oczy.

— Cóż byś powiedziała, stara, gdybym ja cię tak zaaresztował?

— Powiedziałabym, iż jest to wielką niesprawiedliwością.

— Nie przeszkodzi to temu, iż stanie się ona faktem, jeżeli i dalej iść zechcesz uporem i jestem pewien, iż dwutygodniowy twój pobyt w więzieniu św. Łazarza będzie miał wpływ doskonały na ruchliwość twego języka.

Słowa te sprawiły na ciotce Szupę wrażenie stosu elektrycznego. Obleśna maska momentalnie znikła z jej twarzy, jędza wyprostowała się momentalnie, spojrzała zuchwale w oczy Żewrola, wreszcie zaczęła miotać wymysły i przekleństwa na ajentów, oskarżając ich, że sobie coś upatrzyli do całej rodziny, bo już zaaresztowali najniewinniej jej syna, chłopca najzacniejszego. A zresztą — ona więzienia bynajmniej się nie lęka, owszem — niech ją biorą, nie będzie się kłopotać przynajmniej o utrzymanie.

Inspektor nawet nie próbował nakazywać milczenia rozwścieczonej babie, zwłaszcza, iż wszyscy ajenci śmieli się do rozpuku. Odwrócił się od niej jedynie i zwrócił do mordercy ze słowy:

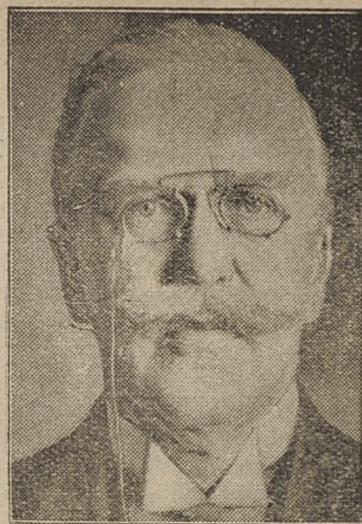
— Ty przynajmniej nie odmówisz nam wyjaśnień?

Obwiniony, po paru chwilach wahania się, w te odezwał się słowa:

— Powiedziałem wam już wszystko, co miałem do powiedzenia. I raz jeszcze upewniam was, że jestem niewinny. Ten oto człowiek, który z mojej padł ręki, na parę chwil przed śmiercią potwierdził moje twierdzenie. To samo powiedzieć może ta oto kobieta. Czegóż chcieć możecie więcej.

Było to powiedziane tonem tak stanowczym, iż Żewrol nie próbował już badać dalej zbrodniarza. Z doświadczenia wiedział, iż najbardziej wyrafinowani złoczyńcy najczęściej głębokie zachowują milczenie, chcąc sobie tym ułatwić obronę i utrudnić śledztwo.

Zatwardziali zbrodniarze wiedzą dobrze, iż jedno nieostrożne słowo, na pierwotnem śledztwie lekkomyślnie wypowiedziane, obraca czasami w niwecz całą obronę, to też milczą oni najczęściej uparcie, zaś mówią dopiero po długich namysłach, na co mają aż nadto dosyć czasu w więzieniu.



Po dwudziestoletniej pracy w szwajcarskiej Radzie Związkowej ustąpił znany ekonomista i polityk, radca Schulthes.

W tej samej chwili ajenci zawiadomili inspektora, iż domniemany żołnierz wyzionął właśnie ducha.

— Ha, w takim razie — powiedział inspektor — nie mamy tutaj moje dzieci nic więcej do roboty. Rozluźnijcie więc pęta na nogach obwinionego, tak, by mógł swobodnie nogami poruszać i wraz z nim udamy się do komisarjatu, by zdać raport wyższej władzy, z tego, cośmy tutaj widzieli. Ciotka Szupa również pójdzie z nami. Tutaj zaś dwuch z was pozostanie na straży.

Wtedy najmłodszy z ajentów, ten sam, który pochwycił mordercę, podszedł do inspektora ze słowy, iż chciałby pomówić z nim na osobności.

Przychylając się do prośby tej, inspektor wyszedł na dwór wraz z ajentem, a gdy odeszli kilkanaście kroków w głąb podwórza, rzekł:

— Cóż takiego masz mi do powiedzenia, mój chłopcze?

— Pragnąłbym się dowiedzieć, jenerale, co pan myślisz o całej tej sprawie?

— O, sprawa jest najzupełniej jasna. Poprostu czterech łotrów zeszło się w tej jaskini rzezimieszków; przy sprzeczce, ten z nich, który miał rewolwer, zamordował innych. Oto wszystko.

— Uważasz więc, inspektorze, iż nie potrzeba przeprowadzać żadnych badań, że wszelkie poszukiwania są zbędne?

— A na co? Sprawa jest przecież prosta jak igła!

Młody ajent zapadł w milczenie.

— A jednak mnie się zdaje — odezwał się po chwili, — że sprawa ta nie jest tak bardzo jasna, jak się to napozór wydawać może. Ja coś wyczuwam...

— Co?.. wytłumacz się, proszę.

— Czyż można umotywować niepokój psa myśliwskiego? Jego węch jest podrażniony — oto wszystko. Taki właśnie niepokój jest we mnie. Nie wiem nic, a jednak coś czuję.

Żewrol, zwolennik teorji pozytywnych, na faktach opartych, wzruszył majestatycznie ramionami.

— Roi ci się jakiś melodramat, widzę. Oczyma "romantyka" widzieć ci się zapragnęło w „Pieprzniczce" ciotki Szupę

rendez-vous wielkich panów, za robotników i żołnierzy poprzebieranych, tak właśnie, jak to widywałeś na scenkach teatrzyków bulwarowych. Szukaj w takim razie, mój chłopcze, szukaj... Ja ci tej zabawy bynajmniej nie zabraniam.

— Pozwalasz mi więc, panie inspektorze, bym robił poszukiwania na własną rękę?

— Nietylko pozwalam, ale nawet ci to nakazuję. By ci to zaś ułatwić, ciebie właśnie wraz z którymkolwiek innym ajentem pozostawię tutaj na czatach. Jeżelibyś zaś dojrzał w tej sprawie coś takiego, czego ja nie dojrzałem, no to daję ci pozwolenie na to, byś mi kupił parę nowych okularów.

II.

Ajent, któremu Żewrol pozostawił wolność poszukiwań na swą rękę, był zupełnym jeszcze nowicjuszem w dziedzinie poszukiwań kryminalnych.

Nazywał się Lekok.

Był to chłopiec 25-letni, bez żadnego nieomal zarostu jeszcze, mizerny, o blado-różowych wargach, lecz z potężną za to, ciemną czupryną. Wzrostu średniego, bardzo harmonijnej jednak budowy, przyczem jego ciało każdym ruchem przejawiało ogromną siłę.

Zewnętrznie, nie wyróżniał się niczem, oczami chyba, spojrzenie których było ponad zwykłą miarę bystre i wyjątkowo przenikliwe; nos jego również nie był przeciętny, kształtny, prosty, o nozdrzach bardzo rozwiniętych i ruchliwych.

Był synem bogatej i bardzo szanowanej rodziny normandskiej, a jako taki, otrzymał wychowanie bardzo staranne i dobre.

Studjował właśnie prawo na uniwersytecie w Paryżu, gdy w jednym tygodniu dowiedział się o śmierci obojga swych rodziców, a także, iż umarli oni zupełnie zrujnowani.

Pozostał więc na świecie zupełnie sam i bez żadnych środków do życia.

O prowadzeniu dalszych studjów na uniwersytecie nie mogło być w tych warunkach mowy. Zaczął szukać pracy, lecz zdobycie jej dla początkującego jest zawsze bardzo trudne. Proletarjatu bez pracy jest zawsze bardzo dużo w Paryżu. Wziął się do dawania lekcyj, potem przepisywał papiery u adwokata. Jakiś czas był statystą w teatrze, potem zbierał ogłoszenia, był subjektem w księgarni... lecz nigdzie jakoś nie mógł zagrzać miejsca.

Nakoniec znalazł posadę sekretarza u pewnego astronoma, będącego powagą w swej dziedzinie, barona Mosera. Przepędzał tam dnie na przepisywaniu i dodawaniu sum, sprawiających swym ogromem zawrót głowy. Otrzymywał za to sto franków miesięcznie i tak przebył pięć lat, aczkolwiek monotonja pracy doprowadzała go do szaleństwa.

Po pracy wracał do swej izdebki na poddaszu, gdyż na najmniejszą choćby, rozrywkę nie mógł sobie pozwolić i marzył. Marzył o tem, by się wzbogacić odrazu, nagle, jednym jakimś śmiałym czynem.

By myślom tym dać postać realną, jego bujna imaginacja wynajdywała nadzwyczajne kombinacje i fortele.

Pomysły te były tak świeże, nowe, nigdzie i nigdy niepraktykowane, iż Lekok doszedł do przekonania, że istnieje w nim nietylko instynkt wynalazczy, ale i jakby genjusz zła, zbrodni. Wszystkie dokonane w Paryżu zbrodnie i wielkie kradzieże z nieugiętą logiką krytykował, ujawniając całą wadliwość ich pomysłu i nieudolność wykonania.

Mówił wtedy do siebie — że gdyby chciał... to zrobiłby to napewno lepiej, tak, iż jego czyn byłby zawsze pomyślnym uwieńczony wynikiem i nigdy nie zostałby odkryty. Czyny zbrodnicze — o ile je oprzeć na obliczeniach ściśle naukowych — zawieść nigdy nie mogą. Fantazjowania na ten temat stały się u niego wkońcu wprost chorobliwe, były jego manją, całą uciechą jego życia.

Pewnego dnia nie mógł powstrzymać się od wyłożenia swemu chlebodawcy pewnych planów, opartych na rozumowaniach i obliczeniach do tego stopnia niezbitych, iż pomyślny wynik był dla każdego oczywisty. By zaś zdobyć tą drogą kilkaset tysięcy franków, należało przesłać dwa listy i jeden telegram — oto wszystko. Niepowodzenie było wykluczone, przestępstwo ponadto nie pozostawiało za sobą żadnych, najmniejszych choćby śladów.

Astronom zdumiony prostotą pomysłu, podziwiał w milczeniu umysł, w którym myśl taka, w swoim rodzaju genjalna, narodzić się mogła. Po namyśle jednak uznał za mało pożądane dla siebie trzymać u siebie do tego stopnia wynalazczego sekretarza.

To też nazajutrz wręczył mu trzymiesięczną pensję, ze słowami:

— Mój drogi, przy twem ubóstwie i twej lotności umysłu jednocześnie — możesz zostać słynnym na świat cały rzezimieszkiem, lub niemniej sławnym policjantem; na sekretarza jednak nie nadajesz się stanowczo, więc cię żegnam.

Lekok opuścił astronoma zawstydzony, jego słowa zaczęły kiełkować jednakże w jego umyśle.

— Istotnie — powiedział do siebie — dlaczegobym miał nie iść za tą jego radą?

Myśl zostania policjantem nie budziła w nim odrazy. Przeciwnie. Niejednokrotnie podziwiał on tę tajemniczą potęgę, mózg której się znajduje przy ulicy Jerozolimskiej, zaś ręce sięgają wszędzie; której nigdzie nie widać, a która niemniej widzi i słyszy wszystko.

Bez przykrości myśleć zaczął o tem, iż mógłby zostać narzędziem tej opatrzności na małą skalę; pomyślał, iż bez krzywdy dla nikogo wyzyskać mógłby te zdolności niezwykłe, przez przyrodę mu dane.

Miałby wtenczas życie pełne zdarzeń bowiem, ruchliwe, a więc tym samym nie monotonne, lecz barwne, nakoniec pracą taką mógłby zdobyć nietylko dobrobyt ale i sławę.

Nie namyślając się dłużej, zrealizował myśl tę, poszedł za swem powołaniem i został policjantem.

List polecający barona Mosera ułatwił mu zapisanie się do szeregów służby bezpieczeństwa, lecz od początku spotykały go same rozczarowania. Był tylko pionkiem, spełniał rozkazy tylko, nie mając sposobności ujawnienia swej inicjatywy w żadnym wypadku.

Aż nakoniec sposobność taka się zdarzyła, o ile się zdaje.

Miał pozostać w „Pieprzniczce" sam. Sam — na miejscu bardzo tajemniczej zbrodni. Fortuna przechyliła się na jego stronę. Ujrzał drogę do powodzenia, gdy tylko zauważył, jak Żewrol bagatelizuje śledztwo i cały wypadek ocenia jako zwykłą bójkę opryszków, którzy się poważnili przy podziale łupu.

— Dobrze — pomyślał sobie wtedy — idź stary rutynisto, który urabiasz sobie sąd na pozorach, na „faktach", jak powiadasz. Idź sobie, idź, a ja dowiodę, iż młoda intuicja jest więcej warta, aniżeli twoja wieloletnia praktyka.

Wobec Żewrola postąpił najzupełniej poprawnie, zwrócił przecież jego uwagę na fakt, iż sprawa nie jest bynajmniej tak prosta jak się z pozoru wydaje. Że zaś jego naczelnik te uwagi zbył pogardliwym uśmiechem lekceważenia — tem lepiej.

Mógł teraz, w razie czego, powiedzieć Żewrolowi: „Przecież ja ci to mówiłem odrazu, jenerale", że zaś naczelnik mimo tego promienia światła wolał zostać w ciemności — nie jego już wina.

Pozwolenie, jakie otrzymał, było jego pierwszym tryumfem, który dobrze wróżył o przyszłości. Następnie sam sobie wybrał kolegę, który miał z nim pozostać. Gdy to wszystko się stało, usiadł cicho w kącie izby, przysłaniając powiekami oczy, ażeby nikt nie wyczytał w nich przypadkiem radości, jaka z nich tryskała.

Pożerała go niecierpliwość, nieposkromiona żądza czynu. Nie mógł się doczekać wyjścia ajentów i wprost z nienawiścią patrzał na ciotkę Szupę, która broniła się rozpaczliwie, gdy jej nakładano kajdany.

— Oni nie skończą dzisiaj — mruczał zdenerwowany.

Skończyli jednak. Wtedy Żewrol dał rozkaz opuszczenia szynkowni i wyszedł sam ostatni, rzucając swemu podwładnemu spojrzenie szydercze, zamiast pożegnania.

Stopniowo kroki oddalającego się oddziału cichły w oddaleniu, wkońcu nawet głośne przekleństwa ciotki Szupę rozpłynęły się w ciszy.

Wtedy Lekok powstał z siedzenia, ręce wzniósł do góry i zakrzyknął głosem radości pełnym, zwracając się do swego towarzysza:

— Myśmy dwaj tylko tutaj pozostali!

III.

Ajent, którego Lekok wybrał sobie na towarzysza, był znany z małej lotności swego umysłu.

Takiego towarzysza wybrał sobie Lekok nie dlatego bynajmniej, by nie mieć potrzeby dzielenia się z nim swym spodziewanym tryumfem w przyszłości, lecz z tej przyczyny, iż biorąc taką jednostkę właśnie mógł się spodziewać, iż będzie on mu we wszystkiem posłuszny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

BŁĘKIT I CISZA...

Po dalekich, błękitnych morzach
Nieodkrytego jeszcze świata —
Przy rannych i wieczornych zorzach,
Błądzi serca mego fregata.

Dziwnych tajemnic pełna głusza
Usposabia miękko do marzeń —
Szczęśliwą czuje się dusza,
Choć czas upływa bez wydarzeń...

Ach! Nabrać tej ciszy, błękitu
I dać wszystkim ludziom najprościej...
Niech pod wpływem szczerego zachwytu
Zapomną trosk swych, smutków, złości!

Danuta Wyrybkowska.

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów, są proszone następujące osoby: „Bury" — „Genjusz" — „Alina" — „Romantyk XX wieku" — „Samotna Gwiazdeczka" — „Drań" — „Mickey Mouse" — „Czarna Gwiazda" — „Wesoła Andziulka" — „Spartanin" — „Gwiazda Rodziny" — „Zamyślona" — „Wróbel" — „Amazonka" — „Czytelniczka z Poznańskiego" — „Laleczka P." — „Kruczowłosy Królewicz" — „Ireczka z nad granicy" — „Muzykalna Szatynka" — „Rusałka" — „Sobowtór Ramona" — „Blondyn z Gdyni" — „Fela z Trok" i „Hania."

Co mam zrobić z listem dla p. Stanisławy W., gdyż adresu, ani bliższych szczegółów o niej nie posiadam?

CÓŻ SŁYCHAĆ?

„Hela" i „Mimi" z prowincji." Dotychczas nic dla Pań nie nadeszło. Proszę się jednak tem nie zrażać i poprostu samej próbować nawiązać korespondencję z jakąś Sympatyczką lub Sympatykiem, przesyłając na moje ręce liściki. W „Krainie" wybór przecież tak wielki. Cóż słychać w okolicach, w których Panie zamieszkują? Znam je bardzo dobrze.

SŁOŃCE W SERCU

Kiedyś, już dawno — nie wiem, czy pamiętasz,
Wraz z listem śliczny wierszyk mi przysłałeś,
Który czytałam słodko uśmiechnięta —
Bo mi w nim — w sercu słońce mieć — kazałeś.

Przyrzekłam wtenczas uroczyście sobie,
Że choćby mnie spotkało nieszczęść wiele,
Choćbym była w serca ciężkiej żałobie —
Słońce mieć będę w mej duszy kościele.

Więc dzisiaj — pomna na przysięgę moją,
Choć w smutku rozpacznym, i tęsknocie łkam,
Tych kilka słów przesyłam w stronę twoją —
— Że błękit w oczach, a w sercu słońce mam.

„Złoty Promyk."

NAPISZ MI DOKŁADNIE

„Syrena." Kochana Dziewczynko! Jeżeli jesteś już zdrowa, proszę, napisz mi dokładnie na co chorowałaś. Zapewnie dużo cierpiałaś? Składam Ci moje współczucie i życzę miłej korespondencji z Panami od których przesłałam przed dwoma tygodniami listy. Serdecznie pozdrawiam!

LIST BYDGOSZCZANEK

„Trudzia i Renia z Bydgoszczy" piszą:

„Szanowna Pani! Z powodu braku znajomości pragniemy drogą „Krainy szczerości" poznać dwóch ładnych i sympatycznych chłopczyków o czarnych jak węgiel oczach i takich samych bujnych włosach. Jesteśmy wesołemi i sympatycznemi koleżankami, rasowemi blondynkami. Jedna o piwnych — naiwnych oczach, druga o niebieskich — królewskich. Lubimy taniec, muzykę, łyżwiarstwo i inne sporty.

Apelujemy więc do Czytelników zamieszkałych w Bydgoszczy, aby zechcieli napisać do *„Trudzi i Reni z Bydgoszczy."*

LUBIĘ...

„Rydz z polany borów tucholskich." Dziękuję Pani za opisanie okolicy. Musi być piękna w swej melancholji, zwłaszcza w zimie. Daję kilka słów z liściku Pani do druku:

„Lubię jeździć kajakiem, pływać i kąpać się. Lubię podziwiać piękno natury, i odczuwać harmonję uczuć. Lecz nie wiem komu mam moje, głęboko ukryte tajniki duszy wypowiedzieć. Chciałabym poznać serdecznego towarzysza z którym mogłabym dzielić me myśli, dawne tęsknoty i prześnione marzenia."

Z „HERSZTEM" i „FILOZOFEM"...

„Emira i Janeczka", w swym krótkim lecz miłym liściku donoszą mi, że chciałyby nawiązać korespondencję. „Emira" chciałaby dyskutować z „Hersztem", a „Janeczka" z „Filozofem."

Wyobrażam sobie, Kochane Dziewczynki, jak ucieszycie się, odebrawszy jakąś wiadomość od wymienionych Panów. Żegnajcie, a nie zapomnijcie o mnie.

CIESZĘ SIĘ BARDZO

„Romani." Na fotografję cieszę się bardzo, bardzo. List wysłałam. Ciekawa jestem, jak adresatka zareaguje na niego. Proszę, niech Pan znowu kiedy napisze, a może wierszyk jaki nadeśle, skoro natura wyposażyła Pana w skłonności marzycielskie i lubi Pan tak bardzo przebywać na łonie przyrody.

BARDZO CHĘTNIE

„Detektyw z pod Torunia." Wierszyk jest przetragizowany, może Pan inny prześle. Bardzo chętnie daję część listu Pana do druku:

„Jestem kawalerem samotnym, młodym, bo dopiero w bieżącym roku ukończyłem 21 rok życia, blondynem o niebieskich oczach, wysoki 173 cm, zawsze wesoło uśmiechnięty dla — wszystkich. Nie znam co to żal i tęsknota. Lubię taniec, muzykę, sport i marzenia, lecz niestety nie mam z kim marzyć, bo w mej okolicy brak „płci pięknej", dlatego chciałbym drogą korespondencji dzielić mój los z miłemi czytelniczkami „Moich Powieści". Zapewniam, że każda bez wyjątku dostanie odpowiedź."

NAWIĄŻE KORESPONDENCJĘ

„Świątynia Dumania." Wierszyk miły, słowa liściku również. Daję je do druku:

„Młoda marzycielka nawiąże korespondencję na wstępie z Panią Zosieńką, oraz z Czytelniczkami, nie pomijając przytem Czytelników. Mam lat 18-cie. Ukończyłam gimnazjum oraz konserwatorjum prywatne. Jestem wysoką blondynką, szczupłą, o niebieskich oczach, patrzących śmiało na świat. Lubię szczerość, odwagę, powagę, muzykę, śpiew, taniec, sport i wszystko co dobre i piękne na świecie."

NIE... LECZ TAK...

Dzień dzisiaj taki sentymentalny,
Pełen zadumy i łez,
Coś jakby żal, list pożegnalny,
Jak smutnej miłości kres,

Mówi się same banalne słowa,
Że szaro, że żal, że kres,
Że w zmierzchu dal jest prawie liljowa,
Jak wiosną liljowy bez.

Wiem, że ten wierszyk też jest banalny,
Jak jesień, jak łzy, jak dal,
Lecz dzień jest taki sentymentalny,
Że czegoś naprawdę żal...

G. G.

APELUJĘ!

„Śląski Lojzik." Za piękny podarek noworoczny w postaci zjednanej prenumeratorki „Mojej Przyjaciółki", serdecznie dziękuję. A teraz apeluję do Sympatyczek „Krainy", by zechciały nawiązać korespondencję ze „Śląskim Lojzikiem", który jest człowiekiem bardzo zrównoważonym, średniego wzrostu, o wielkich zamiłowaniach do muzyki i malarstwa.

CZEKAM! TĘSKNIĘ!

„Smutna Haneczka." Zawód, jaki Panią spotkał, jest bolesny. Rozumiem Panią! Im więcej się kogoś kocha, temwięcej odczuwa potem zawód i ból, ale kto wie czy nie będzie tak, jak mówisz:

„...może znajdzie się jeszcze dla mnie jakiś wymarzony, któryby zdołał serduszko rozweselić, a może zapalić płomyczek miłości, który został tak nagle stłumiony. Czekam! Tęsknię!"

POPATRZ JAŚNIEJ...

„Złoty Promyk." Co za przypuszczenie „Złoty Promyku!" Doprawdy, nie mogłabym zapomnieć o Tobie, przecież jesteś pierwszą Sympatyczką „Krainy" i najwierniejszą. Dziękuję Ci za rymowany liścik. Widzę, że zawsze jesteś smutną. Jeszcze raz więc proszę: uśmiechnij się! Popatrz jaśniej na świat, przecież jesteś „Złotym Promykiem"... Napisz znowu — czekam!

CZY PAMIĘTASZ?

„Paź." Twój szczery liścik zasmucił mnie. Czyżby jedna zawiedziona przyjaźń i niewierne serce, miały Cię tak krańcowo zniechęcić do życia? To niemożliwe!

Najdroższa! porzuć te smutne myśli. Jesteś taka młodziutka, masz takie czułe serduszko, więc jaśniej i pogodniej popatrz w życie. Nie takie ono straszne, jak się nam wydaje. Posiada tyle dobrych stron, choć dla najsmutniejszego człowieka. Naturalnie, nie trzeba być pesymistą.

Kochany „Paziu"! — czy pamiętasz jeszcze Rosję i czy mogłabyś podzielić się ze mną garścią wrażeń stamtąd? Pisz, pisz jak najczęściej. — Sprawisz mi również wielką radość, gdy będziesz mnie uważała za przyjaciółkę, choć oddaloną.

DO „BŁĘKITNEJ RYCERKI"...

„Pantuer" pragnie nawiązać szczerą nić korespondencyjną, z miłą, inteligentną przedstawicielką „płci pięknej", w celu podzielenia się swojemi uczuciami i poglądami. Interesują Go przedewszystkiem sprawy społeczne. Pragnie poznać bratnią duszę, która podzieliłaby Jego zapatrywania. W tym celu zwraca się do „Błękitnej Rycerki" z zapytaniem, czy nie raczyłaby skreślić do Niego kilka słów.

CZY KORESPONDENCJA SPRAWIŁA ZADOWOLENIE?

„Brzydka Kaszubka." Ciekawa jestem, czy korespondencja przyniosła Pani dużo zadowolenia? Proszę mi o tem w wolnej chwili napisać, dobrze? Przyjm ode mnie jak zwykle pozdrowienia i uściski.

LIST Z KASZUB

„Rodowita Kaszubka" i „Miejski Motylek." Czy mogłyby Panie napisać kiedy list do mnie, w gwarze kaszubskiej? Myślę, że tak, więc zgóry dziękuje i daję do druku parę słów z interesującego listu Pań:

„Potrafimy mówić po kaszubsku. Chętnie uprawiamy sport, szczególnie teraz na łyżwach. Pochodzimy z wioski kaszubskiej, w której urodził się nasz poeta kaszubski Jarosz Derdowski. Wioska nasza posiada jezioro i plażę. Latem przyjeżdża tu dużo letników.

Czy znajdzie się ktoś, co chciałby z nami korespondować? Ucieszyłybyśmy się bardzo!"

CHYBA SIĘ NIE MYLĘ?

„Marteczka." Bardzo mnie to ujęło, że tak Ci się ogromnie podobają „Moje Powieści". Widzę z listu, że musisz być szalenie miłą Dziewczynką. Chyba się nie mylę? Mam wrażenie, że „Borow", gdy się dowie o zainteresowaniu się Nim, skreśli do „Marteczki" liścik. A teraz — pa!

NAPEWNO

„Muszka." Wymienione nr. „M. P." może Pani nabyć w naszej administracji. Fotografja moja była już kiedyś i napewno „Muszka" ją widziała. Dlaczego list taki krótki? Proszę się na drugi raz poprawić! Pa!

LISTY Z ANGLJI I TURCJI

Najlepszym dowodem, jaką popularnością cieszy się „Kraina szczerości" jest fakt, że w tych dniach otrzymały Sympatyczki „Krainy" „Winia i Krysia" list z Anglji (z Londynu) oraz „Zefi" list z Turcji. Dowodzi to, że „Kraina" ma swoich Sympatyków nietylko w całej Polsce, ale nawet zagranicą.

WYTRWAJ!

„Piękna Cyganeczka." Istotnie! Młodość Twoja jest smutna. Kto w takim wieku posiada mateczkę, już kilka lat bardzo chorą, musi być przygnębiony. Jednak wytrwaj, nagroda za Twoje poświęcenie, pracę i czułą opiekę nad mateczką, nie ominie Cię. Przesyłam Ci, Kochanie, moje najgłębsze współczucie i proszę, pisz, ile razy, Ci będzie smutno i samotnie.

Jeżeli ktoś z Sympatyków prześle dla Ciebie liścik, przekaże go Ci natychmiast.

MAM NADZIEJĘ...

„Maryś" — sympatyk „Moich Powieści." Drogi Panie! Mam nadzieję, że za moim pośrednictwem znajdzie Pan bratnią duszę. Przedstawiam Pana naszemu gronu, zapomocą słów z listu:

„Mam lat 23, posiadam minimum egzystencji, lubiany jestem przez otoczenie, z czego wynika, iż winienem być zadowolony i szczęśliwy, lecz tak nie jest; chwilami czuję się osamotniony i odczuwam brak prawdziwej szczerej bratniej duszy, którą mógłbym rozumieć i byłbym rozumiany."

Z DALEKIEGO ŚWIATA

„Kropelka z nad Brdy." Myślę, że nie uzupełniłam adresu tylko przez pomyłkę. Przepraszam Cię, Kochanie! Czy „Rekin" już napisał? Jestem ciekawa, bo pragnęłabym zapewnić Ci interesującą korespondencję. Wiem zresztą sama, jaka to ogromna satysfakcja i zadowolenie otrzymywać miłe listy z dalekiego świata, w dodatku od kogoś nieznanego, i bardzo, bardzo sympatycznego. Żegnaj, Kochana „Kropelko."

TO NIE „PECH"...

„Wacusiewicz." Listy wysłałam. Może nareszcie „pech" zniknie i Pan będzie zadowolony. Zresztą, sądzę, że to nie „pech", tylko poprostu droga do celu i znalezienie ideału. Im dalsza i trudniejsza, tem rezultat końcowy milszy i droższy. Serdecznie pozdrawiam. Pocztówka interesująca. Dziękuję!

NARESZCIE...

„Fata morgana." Nareszcie „otworzyłam" list Pana i przeczytałam pełna zadowolenia, zwłaszcza uznanie dla „Krainy." Z każdym miesiącem, a nawet dniem, rozwija się ona wspaniałej. Jest nietylko kącikiem towarzyskim, ale krynicą pociechy i osłody dla tych, którzy twierdzą, że wszystko: „vanitas vanitatum et omnia vanitas."

Byłabym jednak zapomniała o najważniejszem — rekomendacji. A więc uczynię to zapomocą słów Pana:

„Jestem wysokim, silnie zbudowanym brunetem, lubiącym humor i śmiech i zajmuję pomimo młodego wieku już dość poważne stanowisko kierownicze."

Przesyłam Panu i miastu Pana tysiączne pozdrowienia, gdyż lubię je bardzo.

SŁONECZNY LIST

„Tofi." List Twój, taki słoneczny i tchnący szczęściem, nastroił mnie na pogodny ton. Razem z Tobą cieszę się i powtarzam:

„O słodki dniu, który przychodzisz do nas strojny w miłość bez trwogi! Kto nie wyciąga do Ciebie rąk? Nie poi się Twoją słodyczą?..."

Dziękuję Ci Kochana „Tofi" za ten cudowny liścik z opisem Twego szczęścia. Pamiętaj o mnie! Pisz często!

NIE WIEM

„Wierna Jaskółeczka." Liścik dla „Darz-Bora" wysłałam. Dlaczego Pani nie otrzymała odpowiedzi — nie wiem. Nie martw się jednak tem, możesz korespondować przecież z kimś innym. Sądzę, że „Ikar II" w wolnej chwili skreśli do Pani kilka słów, skoro się dowie, że Pani była zachwycona jego listem. Na zakończenie przesyłam wiele pozdrowień i uścisków.

POWIEDZ MI...

Poświęcam „Ord-Omowi."

Dlaczego rozpaczasz? — powiedz mi,
Dlatego, że życie się szaro plecie?
Że tak boleśnie zraniło Cię,
Szczęście roznosząc po pustym świecie?
Dlaczego, pytam — tak smutnie
Piszesz swe wiersze kochane?
Czyż tak cię los zranił okrutnie,
Biorąc twe szczęście świetlane?
Wierz! — wróci szczęście Twe — wróci.
Wierz, że płynie znów radosne,
Gdy jasne słonko zaświeci,
W przyszłą, szczęśliwą wiosnę.

„Biała Uajali."

Krępkowo, w marcu 1935.

DO „TECZKI"

„P. F. Reitz." Wierszyki dałam do oceny Wujkowi Januszowi. Proszę, niech Pan zawsze swoje utwory przesyła do „Teczki."

Teczka Wujka Janusza

WICHREM SMAGANE...

Noc ciemna dokoła,
Gdzie spojrzysz, czarna dal.
Żałośnie brzmią drzew nokturny,
Wichrem smagane.

Siła burzy w swej potędze,
Sieje wokół spustoszenie.
Jęczą ruder ściany,
Wichrem smagane.

Pieni się woda
I skarży zarazem.
Łączą się fale w szalone tany,
Wichrem smagane.

B. Braunówna.

DO DALSZEJ PRACY

P. B. B. Rezygnacja?... Nie! Praca, Droga Pani, dalsza praca. Wytrwałością, przy zdolnościach i zamiłowaniu wytkniętego celu, człowiek pokona wszystko i zwycięży. Tak samo będzie z Panią. Kiedyś dowiem się nawet, że miałem rację.

Za przesłany wierszyk dziękuję. Jako wiersz biały, to zn. bez rymu, jest dobry. Zamieszczam go powyżej i zagrzewam Panią do dalszej pracy nad sobą.

CZEM CIĘ PRZEBUDZIĆ?

Czy mam cię zbudzić dźwiękiem gitary,
Czy cichem słowem pełnem pieszczoty,
Czem mogę zegnać z czoła twojego
Codzienne troski, smutki, kłopoty?...

Czy mam cię zbudzić bajką czarowną,
Czy też kaskadą śmiechu srebrnego,
Czy może piosnką smutną, a rzewną,
Czem mam cię zbudzić.... zadumanego?....

Może ty dumasz o swojej młodości,
Latach chłopięcych, szczęściu, swawoli,
O tem, że prysły i już nie wrócą.
O! błagam! powiedz! — co ciebie boli?

„Dzinka."

TAKA JEDNA ŁZA...

„Wierszokletce" — poświęca „Maleńka Dzidzi", dawna „Tangolita", w podziękowaniu za wiersz pod tyt.: „Zaszumiała."

Taka jedna wielka, perlista łza,
Może wypowiedzieć wszystko,
Ból, rozpacz, gorycz, smutek dnia,
Wypowie łza jedna wszystko.

Taka jedna wielka, perlista łza,
Szlachetna i czysta jak lilja,
Stary, młody, każdy ją dobrze zna
Łzę czystą, szlachetną, jak lilja.

„Maleńka Dzidzi."

ŻAŁUJĘ...

„Maleńka Dzidzi." Listem byłem całkowicie rozbrojony. Co za ogromny tupet i humor u tak „maleńkiej" osóbki. Poprostu nie do uwierzenia! Przesyłkę odebrałem. Cudowna! Żałuję, że mieszkamy tak daleko....

Wierszyki: „Nie pytaj" i „Taka jedna łza..." będą zamieszczone. Rytm jeszcze szwankuje. Niech Pani spróbuje liczyć sylaby bodaj na palcach. Mam wrażenie, że wtedy będzie wszystko dobrze. Również utwory przeznaczone do druku, proszę pisać po jednej stronie papieru.

A teraz żegnam, i czekam na nowy list.

GDY PRZYJDZIE WIOSNA...

Gdy wiosna świat do życia na nowo powoła,
Gdy słońce krwawą tarczą na niebie zapłonie,
Gdy rozpłynie się cudny śpiew ptasząt dokoła,
A powietrze napełnią błogie kwiatów wonie.

Wówczas na zawsze zniknie troska z twego czoła,
Szczęście będzie codziennym serca twego gościem,
Bo idąc wciąż przed siebie promienna, wesoła,
Napotkasz nowe życie, co się zwie — miłością!

„Ood-Om."

Gołaszewo, w marcu 1935 r.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Podobnież niejaki inżynier Dunikowski wykompinował we Francji maszynę do wyrabiania złota z piasku. Narazie miałem go za szemranego cwaniaka, ale teraz widzę, że to kopany w nóżkie frajer.

Jakto? Umie gość forse wyciskać z piasku i zaczem sie zamknąć ze swojem wynalazkiem i dzień i noc obrączki, kolczyki i insze biżuterje wyrabiać, on zwołuje różnych łachudrów do swojego mieszkania i poucza ich jak to robić.

A te tylko nosamy kręcą i mówią, że to lipa, a nie złoto. A swojem porządkiem na pewniaka z pod ręki gotowy wyrób mu kierują i jeszcze mogą całe maszynerje kiedy wynieść.

Nie rozumie, jak pragnę wolności, o co temu frajerzynie się rozchodzi? Żeby mu uwierzyli? A niech nie wierzą, pies z niemy tańcował, gront, żeby wyrób miał kolor, brzęk, to go publika będzie kupować. Są, faktycznie, ludzie, które biżuterji bez próby nie uwzględniają — ale i na to jest rada.

W Warszawie, na Kiercelaku, jest jeden taki fachowiec co jakie sie chce próbe odbije, nawet na miedzianem rondlu.

Do niego ten ów Dunikowszczak powinien się zwrócić, to mu na jego sztucznem złocie tyle prób wytłucze, ile tylko wlizie.

Bywszy na miejscu Dunikowskiego paryskich dziadów bym na zbity łeb przepędził, maszynę w koszyk zapakował i jazda do Warszawy.

Tu bym plaże „Poniatówkie" wydzierżawił, warsztat postawił i grzał złoty minerał, aż by piasek jęczał.

Ale cóż, ten jenżynierek sam tam we Francji siedzi i doradzić niema mu kto. Znakiem tego postanowiliśmy, ze szwagrem do niego sie wybrać.

Bierzem z sobą dwie fury prima wiślanego piasku, to nam chyba za te rade na złoto go przerobi, żebyśmy mieli czem zapłacić koszta podróży w te i nazad.

Jakby sie tam okrajało jeszcze z pare złotych na większy ochlaj, tyż takżesamo, ma sie rozumieć nie odrzuciem. Ale nie o to nam sie rozchodzi, tylko rodakowi chcemy dopomóc.

No, dłużej nie mam czasu z Wami dzisiaj gadać, kochane Czytelniki, bo sie do podróży musze szykować.

Roboty jest do licha: zagraniczny paszport sie postarać, żywności na drogie kupić, bo we Francji podobnież ludzie żaby po nalesońsku wtrajają, a my ze szwagrem do takiego menu jesteśmy nieprzyzwyczajone.

Jeszcze szwagier to może po ciemku zeżarłby i żabe, ale ja takie mam wykształcenie, że nawet minogi nie rusze, choćiażbym miał z głodu doczesne życie zakończyć. W taki sposób bierzem ze sobą całe walizkie zimnego mięsa, stoik chrzanu, 10 butelek czystej i 2 mało solone ogóreczki.

Nie żałujemy sobie, bo i tak Dunikoszczak wszystko zapłaci!

—o—

Swiat i życie

Wielka praca dla przyszłości rzemiosła polskiego i handlu

Urządzenie Polskiej Wystawy Przemysłowo - Rzemieślniczej w Gdyni

Korespondencja własna „Moich Powieści“

Od szeregu lat Gdynia przodowała Polsce w rozbudowie i w inwestycjach, które wielkiej liczbie robotników dawały zatrudnienie, oraz dla różnych gałęzi naszych wytwórczości związanych z budownictwem, była źródłem zarobku. Był to pierwszy etap, który można nazwać okresem budowania portu i miasta na piasczystem wybrzeżu, gdzie dawniej pasło się bydło i gęsi. Jak w bajce o cudownej lampie Aladyna powstało na brzegu słowiańskiego morza nowoczesne miasto — dziw dla obcych i duma całej Polski.

Ale ze zbudowaniem miasta i portu nie skończył się bynajmniej nasz wysiłek nad Bałtykiem. Gdynię trzeba uprzemysłowić, oraz uczynić wielkim ośrodkiem, polskiego handlu zagranicznego, nawiązać tysiączne nici porozumień gospodarczych, wyrobić dla polskiej wytwórczości tysiące rynków zbytu i odnaleźć drogi ekspansji dla wytwórczości rzemiosła i przemysłu polskiego.

Ten pierwszy etap o którym poprzednio mówiliśmy jest do pewnego stopnia, w zakreślonych ramach wykończony. Zapoczątkowano więc etap drugi. W tym celu powstało w Gdyni Towarzystwo Wystaw i Targów, które wzięło na siebie trud olbrzymi, zmierzający w swoich skutkach ostatecznych do pokazania światu wytwórczości rzemiosła polskiego i przemysłu, aby tą drogą zainteresować zagranicę, oraz kraj cały, sprawami naszego handlu zagranicznego i zbudowac silne podwaliny pod ekspansję naszą na rynki świata.

Od szeregu miesięcy grono poważnych obywateli gdyńskich, z inicjatywy Towarzystwa Przemysłowców z Gdyni, zastanawiało się nad środkami i sposobami założenia takiej placówki wystawowej, którąby dawała możność zrealizowania celów i zamierzeń powyżej wymienionych. Po kilku zebraniach, na których wyczerpująco omówiono całe zagadnienie, pod przewodnictwem p. dra med. Stanisława Bobkowskiego powstał tymczasowy Komitet Organizacyjny i na skutek wyczerpujących referatów p. Syndyka Józefa Gendaszyka postanowił założyć Towarzystwo Wystaw i Targów w Gdyni, Sp. z ogr. odp.

Towarzystwo takie powstało. Na prezesa Rady Nadzorczej wybrano dra med. Stanisława Bobkowskiego, wybitnego działacza społecznego, zaś na wiceprezesa p. dyr. Franciszka Linkego, kierownika Komunalnej Kasy Oszczędności miasta Gdyni, wybitnego finansistę i chętnego społecznika. W skład członków Rady Nadzorczej weszli pp. Jan Mack, dyr. fabryki z Gościcina — Piotr Wojtasik, radca Izby Rzemieślniczej w Grudziądzu, oraz p. Piotr Trześniak, właść. fabryki wyrobów bursztynowych w Gdyni, który zasłużył się pracą pionierską w tej dziedzinie drobnego przemysłu na wybrzeżu.

Na członka Zarządu Towarzystwa Wystaw i Targów w Gdyni, walne zebranie członków Towarzystwa powołało p. Syndyka Józefa Gendaszyka, znanego działacza na niwie rzemieślniczej, oraz szczęśliwego inicjatora Wystawy Rzemieślniczej, która na małą skalę odbyła się w Gdyni, w czasie lata w r. 1934 i wykazała że tego rodzaju imprezy gospodarczo-społeczne mogą się w Gdyni cieszyć powodzeniem.

Jak nas informują, Towarzystwo Wystaw i Targów w Gdyni rozpoczęło już intensywną pracę przygotowawczą do urządzenia Polskiej Wystawy Przemysłowo-Rzemieślniczej w Gdyni w r. 1935 w czasie od 29 czerwca do 1 września włącznie.

Na ostatnim zebraniu członków przyjęto plan podziału pracy na wydziały, sekcje i podsekcje. Nawiązano kontakt z władzami w Warszawie i w Gdyni, zyskując ich całkowite poparcie jako też życzliwą pomoc w Lidze Morskiej i Kolonjalnej oraz w Związku Izb Rzemieślniczych.

Solidnie i rozważnie zapoczątkowano pierwsze prace związane z Wystawą Przemysłowo Rzemieślniczą w Gdyni w r. 1935, więc też istnieje pewność, że wystawa będzie imprezą poważną, która przed polskim drobnym przemysłem i przed rzemiosłem otworzy nowe horyzonty, ukaże nowe drogi ekspansji i nowe możliwości zbytu, co jest rzeczą najważniejszą. Przyczyni się ta wystawa do ożywienia naszego życia gospodarczego w Gdyni, w owej stolicy Polski nad Bałtykiem, po której kraj cały spodziewa się tak wiele. Przeto uważamy, że wysiłki Towarzystwa Wystaw i Targów w Gdyni czynione są w interesie całego kraju i posiadają ogromne znaczenie gospodarcze tak dla polskiego handlu zagranicznego jak i dla rzemiosła i przemysłu. Akcja ta zasługuje na jak najsilniejsze poparcie ze strony władz i społeczeństwa. Wiele się robi w Gdyni rzeczy dobrych i celowych, lecz mało tak doniosłych w swoich skutkach jak ta, którą rozpoczęło i którą prowadzi Towarzystwo Wystaw i Targów w Gdyni.

Niewątpliwie echo tej inicjatywy i tych prac odbije się szeroko po całym kraju, potęgując wiarę, że pomimo kryzysu pracujemy intensywnie i celowo, — że nie upadamy. ani się nie cofamy — lecz owszem zdobywamy.

Raj kobiet

Książka w naszem mieszkaniu

W dawnych mieszkaniach mówiło się o pokoju pani domu. Dziś mówi się co najwyżej o „kąciku“ pani domu. Dawniej w takim przybytku głównym meblem była toaleta, przed nią też spędzano wiele czasu. Dziś pani domu załatwia zazwyczaj szybko swe toaletowe sprawy, a wolną od zajęć chwilkę spędza raczej z książką, gazetą czy robótką w ręku.

Zmienił się też charakter jej „kącika“ W każdem mieszkaniu, choćby najmniejszem, staramy się stworzyć sobie taki kącik, który stanowi miejsce miłego odpoczynku po krętaninie w ciągu dnia koło spraw codziennych, który zazwyczaj gromadzi tam i resztę domowników.

Biureczko czy stolik z szufladkami, w których mieszczą się kwity i rachunki, w innej zaś podręczne robótki i (niestety) najpilniejsze reparacje i cerowania, obok fotel lub wygodna kanapka, odpowiednio umieszczona lampa, półeczka na książki — to najważniejsze sprzęty takiego kącika. Łatwo go przyozdobić ładnym abażurem, kilkoma efektownemi poduszkami, doniczką kwiatu (modnym obecnie kaktusem), jakimś artystycznym drobiazgiem, figurką, wazonikiem (byle nie zawiele i nie tandetnych).

W kąciku takim dużą rolę odgrywają książki, a z niemi często mamy kłopot, poprostu nie wiemy, gdzie je ulokować. Dawne szafy-bibljoteki rzadko gdzie się znajdują, zabierają dużo miejsca, są kosztowne. Ich miejsce zastępują obecnie nowoczesne, niedrogie, łatwe do przestawiania półeczki.

Można je wykonać ze zwykłego drzewa i pokolorować na kolor, który będzie się najlepiej do całości mieszkania nadawał. Nie będą raziły ani przy dawniejszem urządzeniu, ani przy nowoczesnem.

A kształt ich jest tak rozmaity i dowolny, że każdy może z łatwością dostosować je do miejsca i formy swego kącika. Najpraktyczniejsze są poprostu w kształcie podłużnych skrzynek bez jednej ścianki.

DOBRA GOSPODYNI

Kruche ciastka

Cztery na twardo ugotowane żółtka rozetrzeć dobrze, dodać pół kg świeżego masła, utartego na śmietanę, wsypać trochę więcej niż 1/8 cukru, dodać 1 surowe całe jajko i 1 surowe żółtko, proszek do pieczenia, pół kg mąki, z której połowę wgnieść dopiero na stolnicy przed wykrawaniem ciastek. Ciastka te należy robić w chłodnem miejscu, a piec w gorącym piecu 20 minut.

—o—

Kruche ciastka bez jaj

Utrzeć na śmietanę pół kg masła, dodać pół kg cukru, znów dobrze trzeć, potem wgnieść 1 kg mąki, wywałkować cienko i wykrawać foremką ciasteczka; posypać je siekanemi migdałami i piec w niezbyt gorącym piecu.

—o—

DOBRE RADY

Walizki, torby, oraz inne przybory skórzane nie należy przechowywać w skrzyniach lub kufrach zamkniętych na czas dłuższy, gdyż mogą spleśnieć. Wystarczy poszyć na nie obcisłe pokrowce i pozostawić je na strychu.

—o—

Po ukończonem praniu, należy wypłókać kocioł od bielizny, wytrzeć do sucha, następnie wysmarować mydłem co zapobiegnie rdzewieniu kotła.

—o—

Wszelkie płyny służące do czyszczenia i polerowania mebli i podłóg, mają w swym składzie materjały łatwo palne lub wybuchowe, należy zatem ostrożnie obchodzić się ze ściereczkami do kurzu, oraz ściereczkami podłóg i trzymać je zdala od ognia, w miejscu przewiewnem, albo w zamkniętej szczelnie puszce blaszanej, a nie w zamkniętej szafie, do której nie dochodzi powietrze.

—o—

Ustawiamy je jedne na drugich w razie rosnącego księgozbioru, obok poziomej stawiamy drugą pionowo. Przystawiamy do tapczanu, czyniąc z nich wezgłowie lub zakończenie, albo umieszczamy dłuższą taką skrzynię — półkę nad oparciem otomanki, nad stolikiem, zależnie od miejsca, upodobania, wygody.

Niewielkim kosztem zyskujemy nietylko miłe upiększenie mieszkania, lecz co najważniejsze — książki nasze przestają poniewierać się po różnych nieprzeznaczonych na ten cel meblach, czują się dobrze, mając wreszcie odpowiednie dla siebie miejsce, a i nam jest lepiej, skoro wiemy, że tej kulturalnej cząstce naszego mieszkania, jaką stanowi książka, zapewniliśmy spokojny schron.

—o—

Co słychać w polityce?

Tydzień ubiegły w polityce światowej stał pod znakiem toczących się rozmów dyplomatycznych pomiędzy **Anglją i Francją** w sprawie skonkretyzowania obu państw wobec ostatniej odpowiedzi **Niemiec.** W związku z nastrojami miarodajnych czynników angielskich stwierdzić możemy, że cel, jaki postawiła sobie dyplomacja niemiecka z dążącą do rozbicia łączności francusko-angielskiej, nie został osiągnięty. Przeciwnie, **manewry niemieckie** wywołały w Anglji żywą nieufność do Niemiec. Rząd angielski czuje się urażony zaledwie ukrywanem pragnieniem Niemiec rozszczepienia frontu francusko-angielskiego, wyrażającem się w żądaniu rozmów wyłącznie angielsko-niemieckich i w odpowiedzi swej pragnie dać Berlinowi wskazówkę, aby Niemcy w przyszłości nie rozłączały żadnych spraw w okresie przyszłych rokowań.

Jakie jednak stanowisko zajmie Anglja, gdy Niemcy nie posłuchają rady Londynu i sprzeciwią się rokowaniom, obejmującym wszystkie punkty deklaracji londyńskiej? Tego nie mogą narazie przewidzieć sami Anglicy. W rozmowach na temat takiej ewentualności słyszy się najczęściej opinję, — w takim razie albo Niemcy porzucą niektóre ze swych pretensyj, albo zdecydują się na definitywne osamotnienie! Jak się potoczą dyskusje nadal i jaki obrót przyjmie sprawa europejskiego bezpieczeństwa zadecydują najbliższe tygodnie.

Tymczasem w dalszym ciągu **rozbrzmiewają we Włoszech fanfary wojenne.** Nic to jeszcze groźnego. Od fanfar wojennych do strzałów armatnich jeszcze daleko.

Społeczeństwo włoskie nie wykazuje zapału do zbrojnej wyprawy na Abisynję. Zarządzona przez sztab generalny mobilizacja częściowa nie wywołała tego powszechnego entuzjazmu, z jakim się w kołach wojskowych liczono. Podane na wielkiem zgromadzeniu wielkiej rady faszystowskiej 70.000 ochotników, to członkowie organizacyj faszystowskich, a więc ludzie, którzy działali pod pewnym przymusem moralnym. Poza tem istnieje w społeczeństwie włoskiem powszechna i głęboka niechęć do tej akcji.

Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli stwierdzimy, że obok przyczyn natury politycznej na nastrój społeczeństwa włoskiego oddziałały w stopniu niewątpliwie silniejszym trudności gospodarcze. Włochy przeżywają obecnie bardzo **ciężki kryzys gospodarczy** i finansowy, objawiający się we wzroście bezrobotnych i zachwianiu się lira. Szczególnie w ciężkiej sytuacji znalazły się finanse włoskie, poderwane przez długoletni i kosztowny wyścig zbrojeń na lądzie i morzu między Włochami i Francją. Wyścig ten został zatrzymany porozumieniem francusko-włoskiem, ale skutki jego pozostały. **Lir spadł** ostatnio prawie o 5 proc. Pogłoski o zamierzonej jakoby wyprawie zbrojnej do Afryki wschodniej zachwiały nim jeszcze bardziej, — to też nic dziwnego, że już nawet w kołach rządowych zaczyna się powoli mówić o wycofaniu się z niewygodnej sytuacji, w jakiej znalazły się Włochy, rozdmuchując zatarg graniczny z Abisynją do rozmiarów w porównaniu z dzisiejszymi możliwościami zbyt wielkich.

Jak to twierdziliśmy od samego początku koncentracja 19 dywizji włoskiej, której formacje odpłynęły już do Somali miała jedynie charakter manifestacji — i nic więcej.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 3. III. do 9. III. 1935 r.

Niedziela, dnia 3 marca 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa Po Nabożeństwie piosenki i tańce góralskie 12 05 Przegląd teatralny 12.15 Muzyka 13.0 Fragment z komedji „Fircyk w zalotach" 13.15 Uroczysta Inauguracja I-go Międzynarodowego Konkursu Sskrzypcowego. Transmisja z Filharmonji Warszawskiej 14 00 Muzyka lekka 15.00 „Porady weterynaryjne" 15.15 Utwory na kornet solo 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.35 Piosenki żołnierskie 15.45 „Wybór zawodu" — pogadanka dla gospodyń 16.00 Pieśni luoowe 16 20 Koncert 16.40 „W szkole austrjackiej" — fragm. z powieści Zygm. Nowakowskiego pt. „Rubikon" 17.00 Muzyka do tańca 17.35 „O trzech piekarczykach" — obrazek dla dzieci 17.50 „Społeczne dobre wychowanie" — odczyt (z cyklu „Kultura życia codziennego") 18.00 Muzyka lekka. Wykonawcy: „Chór Juranda i Jan Zyński (fortepian) 18.45 „Sport w życiu młodzieży" — Odczyt (z cyklu „Zycie młodzieży" 19.08 „Słynni artyści" (płyty) 19.45 „Ruch i tempo Nowego Yorku" — Feljeton 20.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 20.30 Muzyka taneczna (płyty 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 „Co czytać?" — nowosci beletrystyczne) 21.15 Wiadomości sportowe 21.30 Koncert Europejski 22 00 Koncert reklamowy 22.15 Koncert wieczorny 22.05 Wieczór taneczny.

Poniedziałek, dnia 4 marca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 7.50 „Wskazówki praktyczne" 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 10.45 „Racjonalne pranie" (Pogadanka dla kobiet) 15.55 Dziennik południowy 13.00 „Karnawał w muzyce" 13.55 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert 15 30 Lekcja języka niemieckiego 16.45 „Kwadrans słynnych artystów" — Ignacy Paderewski 17.00 „Zagadki muzyczne" dla dzieci 17.15 Ogólnopolska rezerwa 18.00 Audycja żołnierska 18.25 Chwilka społeczna 18 30 Skrzynka ogólna — koresp. bieżąca 18.45 Jazz Luke Ellingtona i zespół argentyński Lucchesi'ego 19.15 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 19 25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Pieśni 19 50 Przegląd filmowy 20.00 „Coś pikantnego" — audycja starych piosenek 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 Koncert i przyśpiewki 23.05 Muzyka do tańca.

Wtorek, dnia 5 marca 1935 r.

6 30 Audycja poranna 12.05 Fantazje i arje operowe 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert 13.45 „Z rynku pracy" 15.45 Reportaż muzyczny 16.30 „Listy od dzieci" (młodszych) 16 45 Pieśni 17.00 „Skrzynka pocztowa P. K. O." 17.15 Utwory muzyki polskiej 17 50 „O włóczęgostwie i żebractwie dzieci". Pogadanka społeczna. 18.00 Muzyka salonowa 18.15 Fragment teatralny 18.30 Koncert reklamowy 18.45 Koncert chóru męskiego 19.15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19-30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19 35 Krótki recital skrzypcowy 19 50 Feljeton aktualny 20.00 „Orkiestra się spóźniła" — wesoła audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 „Klocki" — karnawał chłopski 22 00 Muzyka taneczna 22 80 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 6 marca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12 55 Dziennik południowy 13 00 Muzyka popularna 15 45 Koncert 16 30 „Klub jakiego dotąd nie było" — Odczyt z cyklu „Ze świata dziewcząt" 16.45 Muzyka 17 00 Odczyt kształcący 17.15 Wieniec pieśni ludowych Śląska Cieszyńskiego 17.35 krótki koncert organowy 17.50 „Książka i wiedza". O książce prof. Kendała „Nowoczeana alchemja" 18.00 „15 minut starej muzyki" 18.15 „Wesoły sketch" 18 30 „Skrzynka techniczna" 18.45 Muzyka salonowa 19.15 „Więcej drobiu" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19 30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Utwory na viola d'amore 19 50 Pogadanka aktualna 20.00 Fragment operowy 20 15 Wieczór Mickiewiczowski 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Odczyt w języku obcym 21.45 Recital śpiewaczy 22.15 Muzyka salonowa.

Czwartek, dnia 7 marca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Program dla dzieci 12.30 Poranek szkolny z Filharmonji Warsz. 13 00 Chwilka dla kobiet 13.05 Dziennik południowy 13.40 Dalszy ciąg koncertu z Filharmonji Warszawskiej 13 45 Z rynku pracy 15.45 „W Praterze znów kwitną drzewa" — koncert ork. kameralnej 16.30 Pogadanka w języku francuskim 16 45 Utwory skrzypcowe w wyk. Ireny Dubiskiej 17.00 „Wśród najpiękniejszych koni w Polsce" reportaż 17.15 Koncert z cyklu „Sonaty L. van Beethovena" 17 50 Poradnik sportowy 18.00 Pieśni 18,15 Szkic literacki 18.30 „Skrzynka poeztowa" 18.45 Muzyka lekka 19.15 Nowiny leśne 19 25 Wiadomości sportowe lokalne 19 30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Pinje rzymskie 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Teatr Wyobraźni 21 30 Koncert 22.15 Koncert utworów Karola Kurpinskiego 23.05 Muzyka taneczna 23.30 Rozmowa z angielskiemi słuchaczami.

Piątek, dnia 8 marca 1935 r.

8.00 Audycja dla szkół 12.05 Muzyka popularna 12 50 Chwilka dla kobiet 12.50 Dziennik południowy 13.00 Muzyka lekka 15.45 Audycja operetkowa z Wilna 16.30 „Marzec na niebie i ziemi" — pogawędka przyrodnicza 15.45 Muzyka 17 00 „Wartość pracy" — Odczyt 17.15 Kwartet fortepianowy 17.40 Audycja dla chorych 18.10 Fragment z „Dziadów" Mickiewicza 18 45 Muzyka 19.15 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Koncert Zespołu Mandolinistów 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Jak spędzić święto ? 20 05 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej W przerwie Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy w Polsce 22.30 Recytacje poezyj 20.40 „Hygjena młodej dzinwczyny" — Odczyt.

Sobota, dnia 9 marca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Muzyka salonowa 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Rosyjska muzyka symfoniczna 13.45 „Nasz handel morski" 15 45 Koncert 15 30 „Sowiecka miłość" — humoreski rosyjskie 15.45 Koncert solistów 16.30 Skrzynka techniczna 16 45 Krótki recital fortepianowy 17.00 Odczyt z cyklu „Miasta i miasteczka polskie" — „Nowogródek" 17.10 Najnowsze nagrania na płytach 17 50 Pogadanka Brunona Winawera 18 00 Wesoła audycja dla dzieci 18 30 Przegląd wydawnictw 18.45 Marsze 19.15 Wiadomości rolnicze 19 25 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19 35 Arje i pieśni 19 50 Feljeton aktualny 20.00 Transmisja z Wiednia. „W rytmie epoki naszych czasów" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.66 „Walc w różnych formach" — koncert 22.15 Szkic literacki 22.39 „Na wesołej lwowskiej fali" 23.05 Wieczór taneczny.

CHWILA ZASTANOWIENIA

CZY TO TRUDNE?

Odczytajcie: *„Icśeiwop hciom" łaizd yzslimjan — ot „ksort hcyzsan i icśorezczs aniark."*

TAFELKI LITERACKIE

(uł. D. W.)

Podane niżej tafelki tak przestawić, aby otrzymać 8 nazwisk pisarzy i poetów polskich (4 pionowo i 4 poziomo).

D I A E	I Z T C	K A C I	K S Z I
G K I O	K O W I	A Ź N S	U M O S
I Y N C	K K I I	E K N W	B R S S
K O C R	R I N N	G B Ł O	R Z A Z

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci dwóch książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 8 marca b. r.

Rozwiązanie z numeru 7 „Moich Powieści": Bilety wizytowe: Sztokholm, Wilanowo. Krzyżówka: 1. Orkan 2. Praga 3. Barka 4. Sanna 5. Prasa 6. Dawka 7. Krasa 8. Wołga. — Całość: *Karnawał.*

Trafne rozwiązania nadesłali: Fr. Grzela, Popioły — Stefan Śledzikowski, Gdynia — Cezary Ziółkowski, Łężyn — Henryk Silczyński, Warszawa — Czesław Kozłowski, Warszawa — Bronisława Landowska, Wiele — M. Dąbkiewicz, Gniezno — J. Nowakowski, Golub — Irena Minicka, Inowrocław.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Cezarowi Ziółkowskiemu z Łążyna pocz. Rzęczkowo, pow. Toruń i Irenie Minickiej z Inowrocławia ulica Królowej Jadwigi 24.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

26)

„Cóż to jest trumna? Sześć zbitych desek i nic więcej. Niedawno czytałam nawet w gazecie, że jedna sławna aktorka w podróżach swoich na gościnne występy nigdzie indziej nie spała, jak tylko w trumnie, w której ją kiedyś na jej życzenie mają pochować.“

Anielcia zsunęła się z tapczanu, — niepewnym krokiem zbliżyła się do trumny, — zaledwie jednak przy niej stanęła, zachwiała się i z ust jej wydobył się niezrozumiały głos.

Teraz, gdy stanowcza chwila nadeszła, owładnęło ją niewymowne przerażenie. Gilowa miała słuszność, — trumna sama przez się jest niczem nadzwyczajnem, — tem bardziej, jeżeli nikt jeszcze w niej nie leżał.

A przecież, — przyznaj piękna czytelniczko, gdyby ci taką propozycję zrobiono, byś się do trumny położyła, w niej wyciągnęła swe lube członki, nie ogarnąłby cię strach i przerażenie, — nie uciekałabyś coprędzej z tej domowiny, którąśmy my ludzie przyzwyczaili się uważać za symbol najgłębszego smutku, żałoby i najkrótszego bólu?

Biada domowi, do którego trumnę wniesiono, — potrzykroć biada temu, z którego wyniesiono. Któż w niej leży? Drogi jakiś członek rodziny, przyjaciel lub inna jaka droga sercu osoba, — idzie od nas w tę krainę nieznaną, dokąd tyle poszło a nikt dotąd nie wrócił.

Tak więc trumna stała się symbolem wieczności dla nas, — dzieło ręki ludzkiej otacza fantazja strachem, odrazą i obawą.

„Nie mamy czasu do tracenia“, upominała Gilowa, „wnet przyjdą ludzie, by trumnę na podwórze wynieść.“

„Ludzie?“ z przestrachem ozwała się Anielcia, „co za ludzie? — Nie mówiliście mi nic o nich!“

„Ludzie“, odparła Gilowa, „co mają wynieść trumnę na podwórze. A cóż myślisz, żem taka silna, ażeby cię z trumną po schodach wynieść na podwórze, — nie, to już rzecz portjera i palacza.“

„Jak ja się boję, oni mię poznają“, rzekła z drżeniem Anielcia, „oni wpadną na trop, — i biada mi, jam wtedy zgubiona!“

„Ależ dziecko, czego się tak zarazboisz i strachasz“, zawołała Gilowa, „któżby cię miał poznawać? Skoro leżysz w trumnie a ja wieko przymocowałam, nikt się tam nie pyta, kto w niej leży; oni kontenci, jak się pozbędą. — Nie masz pojęcia, co to za tchórze ci mężczyźni, — jak sobie jeden z drugim nie podpije, to nie ma odwagi zaglądnąć trupowi w twarz. Zresztą to już moja sprawa, żeby się o ile możności jak najprędzej z trumną załatwić, spuść się na mnie, moje dziecko, — ja już znam moich ludzi, będą zadowoleni, gdy się trumny pozbędą.“

Gilowa nie tytułowała jej teraz panienką, tylko wprost używała wyrazu „ty“, — we wzroku jej było teraz coś, co największą nieufność wzbudzać musiało, to też po raz pierwszy uczuła dziewczyna instynktownie, bo na razie jeszcze żadnego nie miała do tego powodu, że uczucie, jakie dla niej Gilowa żywiła, bodaj nie życzliwością było, — żałowała niemal, że się jej oddała.

Z drugiej strony jednak powiadała jej rozwaga, że bez Gilowej w tem położeniu, drogi wyjścia z tego domu, dla niej nie było.

Postanowiła, o ile możności jak najprędzej z chwilą uwolnienia odłączyć się od tej kobiety, — na towarzyszkę jej a tem mniej opiekunkę Gilowa się nie nadawała, to pewna.

„Kładź się, — prędko, trochę tylko odwagi, — leży się w trumnie wcale wygodnie, może trochę tylko za twardo.“

„Wszystko już zniosę, — wszystko zrobię. Żeby tylko wieko można trochę podnieść, bo ja się jeszcze uduszę.“

„Ale dziecko, — powietrza będziesz miała dosyć, — jak tylko będziemy w lesie, wieko sobie zleci, główkę podniesiesz i będzie ci tak raźno, jakbyś dopiero przyszła na świat. Prędzej więc, słyszę już kroki na schodach.“

„A trup Edyty? — Co się z trupem stanie?“ zapytała Anielcia z trwogą.

„Jak będę miała próżną trumnę napowrót, wrócę tu jeszcze raz“, odpowiedziała Gilowa, „przeniosę trupa do twojej celi, na twoje łóżko położę i przykryję. Jak go odkryją, będziemy już za dziesiątą górą, — co nas to obchodzić będzie!

„Ha, ten stary łotr obchodził się ze mną przez tyle lat jak z bydlęciem a płacił jak żebraczce, — ale za to wszystko ja się dziś zemszczę.“

Anielcia usłyszała kroki na schodach, uważała sama, że już najwyższy czas.

Raz jeszcze głęboko odetchnęła, jeszcze raz oglądnęła się wkoło, jakby sobie dobrze chciała wrazić w pamięć, gdzie się znajdowała, — zdawało się jej, że kładąc się do trumny, naprawdę brała rozbrat z życiem.

Położyła się zwolna, pomału, Gilowa pomagała jej, — i już leży młoda, zdrowa, pełna życia dziewczyna, — w całym rozkwicie swojej piękności, — między ponuremi deskami z główką opartą na poduszce, napełnionej trocinami, — przeznaczonej właściwie dla nieszczęśliwej Edyty.

„Przebacz mi, Edyto“, szeptała do siebie, „przebacz, żem ci odebrała to ostatnie, co ci ludzie na wieczną drogę dali. Ale Bóg moim świadkiem, żem to w ostatecznej konieczności uczyniła. Gdybyś teraz przemówić mogła, pewniebyś postępowania mego nie zganiła.“

„Dobranoc więc, — i dowidzenia!“ rzekła Gilowa brutalnie, spuszczając wieko na Anielcię.

„Jeszcze tylko chwileczkę“, błagała młoda dziewczyna, „pozwólcie, że raz jeszcze odetchnę pełną piersią powietrzem, — ach, ja się tak boję!“

„Tylko spokojnie, — wszystko będzie dobrze“, rzekła stara i przykryła trumnę całkiem wiekiem, „teraz tylko klamry zaczepić i koniec, — już i głosy słychać.“

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi i głosem męskim zapytał:

„Gilowa, wyście tu? — Wszystko w porządku?“

„A tu“, odpowiedziała kobieta swym niesympatycznym głosem; „chodźcie tylko bliżej, coś wam powiem.“

Otworzyła drzwi i wpuściła portjera i palacza domu obłąkanych.

Portjer był mężczyzną olbrzymiej i silnej postawy, z twarzą opiłą, — palacz wysoki, chudy, z zapadniętą piersią i twarzą zbrukaną.

Z widocznym wstrętem i niechęcią przestąpili obydwaj próg trupiarni i stanęli blisko drzwi. Gilowa podeszła do nich.

„Wiecie co“, rzekła, „tu się dzieją rzeczy, których ja swoim rozumem pojąć nie mogę.“

„To przeklęta nora“, zawołał portjer, „do której z ogromną niechęcią wchodzę. Kosztuje mnie to ogromnego przezwyciężenia, ile razy muszę trupa wynosić. Gdyby służba moja pozatem nie była zresztą przyjemna, tobym z pewnością ani dnia jednego tu nie został. Do djabła, — każdą razą, zanim tu zejdę, przynajmniej pół flaszki wódki muszę wypić dla dodania sobie odwagi.“

Jego zaczerwieniona twarz, oczy, bez wyrazu, głos niepewny, świadczyły jak najwymowniej, że i tym razem nie obył się bez lekarstwa.

„Wiecie“, ciągnęła Gilowa, tu coś jest. Jakem kładła trupa do trumny, słyszałam wyraźnie, jak tam w kącie, — to mówiąc wskazywała na kąt, w którym były zwłoki Edyty, — coś dziwnie wzdychało. Zaczęłam się cała trząść i mało brakowało, a byłabym to wszystko porzuciła i po schodach uciekła, gdyby nie odgłos waszych kroków. Uspokoiłam się, myśląc, — no, teraz będzie spokój.“

„Chodźmy, chodźmy prędzej“, zawołał palacz, „bierzcie się do roboty, portjer, byleby na podwórze, — tam przynajmniej jasno, — tam niema strachów.“

„Głupiś“, rzekł mu portjer, „myślisz, że strachy pokazują się tylko w ciemności? A ja ci mówię, że wszędzie są, ale my ludzie jesteśmy za głupi, by je zauważyć i widzieć.“

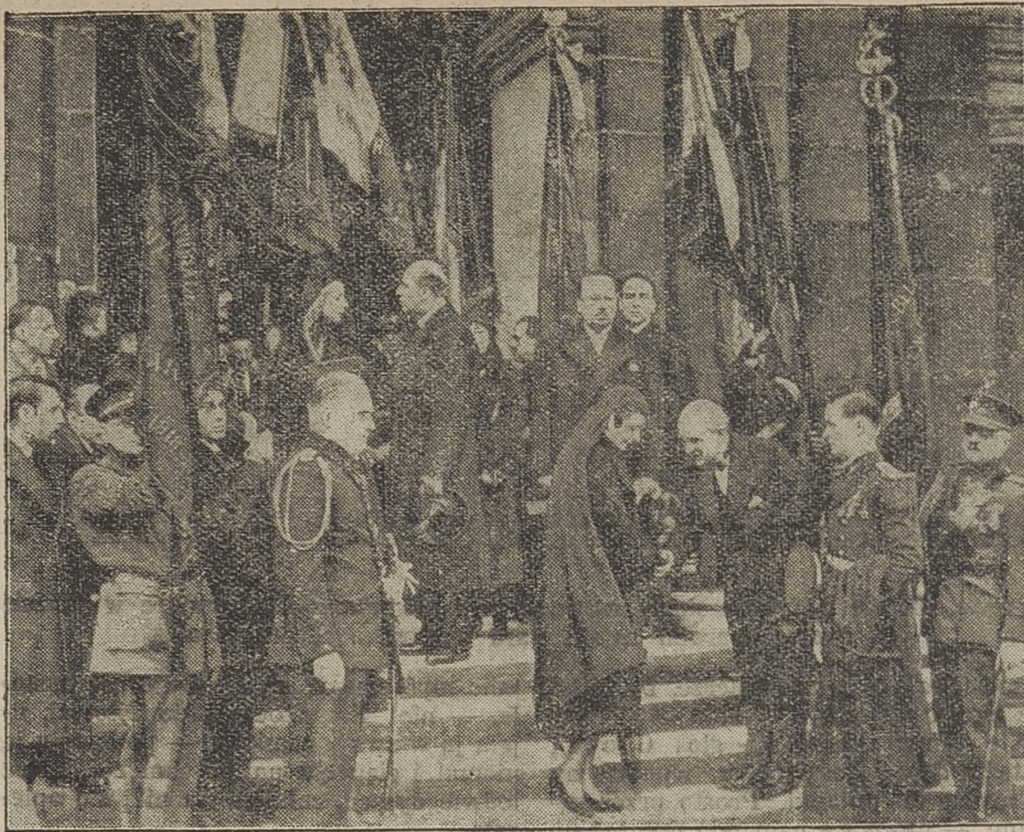
„Sądzisz tak naprawdę?“ spytał niepewnym głosem palacz, przysuwając się całkiem blisko do portjera, „a wiesz, że mi się nieraz zdarzyło, że mi ktoś jakby pojechał po grzbiecie, a gdym się oglądnął, nie było nikogo.“

„To także ciekawe, — przed kilkoma nocami“ filozofował portjer, „widziałem same myszy, a to także nic innego jak dusze zmarłych. Bo w tem mnie inaczej nikt nie przekona. Jak człowiek umiera, uchodzi z niego dusza i włazi w ciało jakiegoś zwierzęcia. Z ciebie naprzykład, palaczu, będzie gadzina!“

„Tak, a z ciebie świnia“, rzekł palacz, „o tem jestem przekonany.“

„Dajcie spokój tym głupim żartom, teraz niema czasu na takie głupstwa,“ wmieszała się Gilowa, „bierzcie trumnę i wynoście, ale ostrożnie. Wiecie przecież, jak się trupa upuści na ziemię tak, że wieko z trumny spadnie, wraca trup następnej nocy i wysysa krew człowiekowi!“

„Strach“, kiwał portjer głową, „krew wysysa, — bez krwi przecież żyć nie



W rocznicę tragicznej śmierci bohaterskiego króla Belgów, Alberta I-go, odbyło się w Paryżu uroczyste nabożeństwo. Na zdjęciu widzimy gości i delegacje ze sztandarami, opuszczających świątynię. — Po prawej francuski minister marynarki, Pietri, wita się z księżniczką burbońską.

można? — No, bierz, palaczu, a trzymaj dobrze, żeby się jakie nieszczęście nie zdarzyło!"

W ten sposób Gilowa zapobiegła, by przypadkiem ci dwaj trumny na ziemię nie upuścili i z całą ostrożnością ją nieśli, — byleby tylko bez wypadku na podwórze się dostać. Drzwi trupiarni starannie za sobą zamknęła, wróci tu jeszcze raz, — później, gdy trumna już będzie na taczkach.

I wynieśli ją pomału, zwolna na podwórze, złożyli na taczkach. Zaczęli ścierać pot z czoła, bo droga po schodach z ciężarem takim na dwóch nie łatwa.

„Zaczekajcie chwilę", rzekła do nich Gilowa, — „nie odstępujcie tylko od trumny, — ja mam jeszcze coś do załatwienia."

To rzekłszy, znikła.

Anielcia w trumnie wszystko słyszała, — ani jedno słowo rozmowy nie uszło jej uwadze, — wiedziała więc, że się na podwórzu znajduje, — tembardziej, że czuła prąd świeżego powietrza, które przez niewidzialne niemal otwory wieka trumny do niej napływało.

Obawa możliwości uduszenia się z braku powietrza okazała się więc płonną, tylko świadomość, że jest w trumnie odbierała jej narazie spokój.

Na szczęście to długo trwać nie będzie, — za kilka minut znajdzie się z Gilową w lesie, a wtedy —

„Czy to trumna z Edytą?" odezwał się nagle głos, od którego czuła Anielcia, że jej krew krzepnie a ona cała drętwieje, — głos to był bowiem doktora Morizano.

„Tak jest, panie doktorze," odpowiedział portjer, nisko uchylając czapki, „w tej chwili wynieśliśmy z trupiarni, — Gilowa tylko na chwilkę wróciła, — zapomniała fartuszek, czy coś podobnego, — zaraz wróci i wywiezie."

„Nie, nie trzeba", słyszała Anielcia doktora dalej ciągnącego, „zanieście trumnę z trupem napowrót i to do prosektorjum. Muszę zbadać dokładnie przyczynę śmierci Angielki."

Anielcia, jak te słowa usłyszała, doznała uczucia, jakby ją kto rękami objął za szyję i dusił, — traciła przytomność z przerażenia, — teraz już po niej!

Do prosektorjum ją mieli zanieść, — wszystko się wyda, jej plan ucieczki, doktor jej nie daruje, nie będzie czekał nawet aż trzy dni dane jej do namysłu upłyną, — odrze ją z czci, a ty wolności — bywaj mi zdrowa!

„Wypoczyńcie chwilę", słyszała głos doktora dalej po małej pauzie, „a potem zróbcie, jak kazałem."

Następnie z oddalających się kroków poznała, że doktor wrócił do budynku.

„Bodajby go licho wzięło", mruczał portjer, „wynoś najpierw na podwórze z trudem, a teraz znowu dwa piętra na górę. Tak zawsze, — co chwila nowe rozkazy, — raz tak, drugi owak, — ale trudno, — czyj chleb jesz, tego słuchać musisz."

„I za taką podłą zapłatę", dodał palacz.

Żeby przynajmniej było się czego napić", rzekł portjer, „po tej robocie tak mi się chce pić".

Gilowa zbliżyła się, nie mając ani „może ona ma kilka kropel czego; czasem ma niezłą wódkę przy sobie".

Gilowa zbliżyła się, nie mając ani pojęcia o wydanym przed chwilą rozkazie doktora.

„Jestem więc", rzekła, „kawał drogi jeszcze do cmentarza, muszę się pospieszyć".

„Oszczędzicie sobie fatygi, Gilowa", odrzekł portjer, był tu doktór i kazał trupa zanieść do prosektorjum, będzie go krajał!"

„Co?" krzyknęła Gilowa, nie wierząc uszom swoim, „czyście powarjowali, — wyraźnie mi przecież kazał zawieść na cmentarz!"

„A teraz się rozmyślił i napowrót do budynku odnieść kazał, — chce badać, na co umarła, — krajać!"

„Ładne także zajęcie", rzekł palacz, „raz jeden tylko to widziałem, ale dziś jeszcze, jak wspomnę, niedobrze mi się robi. Żeby choć z kieliszek wódki wyrwać."

„Aj z kieliszek", potakiwał portjer.

„Wódki", rzekła Gilowa, — głos jej drżał, bo czuła, że teraz chwila stanowcza do wybrnięcia z tego położenia. „Byle o wszystko tak trudno było, jak o to. Chcecie wódki, zaraz ją będziecie mieli. Portjer, znacie przecież moją komórkę, gdzie składam miotłę i inne rzeczy do czyszczenia, na czwartem piętrze. W kącie, nakryta płótnem stoi wielka flacha wódki. Znaleźć ją bardzo łatwo. Jak się wam tak bardzo pić chce, idźcie na górę i pociągnijcie sobie tyle, ile wam do zaspokojenia pragnienia potrzeba, — ja tu tymczasem będę trupa pilnowała".

„Gilowo, bodaj się takie kobiety jak wy, na kamieniu rodziły", zawołał portjer, „gdyby nie to, że już 25 lat jestem wdowcem i niewarto się już żenić, musielibyście być moją żoną."

„Chodź, palaczu, — napijemy się".

Raźnym krokiem pospieszyli ku drzwiom, podczas gdy Gilowa przy trumnie została.

W chwili, gdy portjer już za drzwiami znikał, zawołała Gilowa:

„Pst, daj mi klucz do tylnych drzwi, — w lesie zostawiłam zawiniątko, chciałabym je sobie przynieść, — jest w niem coś, czego doktór widzieć nie powinien, bo tego nie znosi w swoim zakładzie".

„Cóż to takiego?" pytał podchodząc portjer podejrzliwie, „tylko żadnych kontraband, — nie jesteście chyba w zmowie z którą z warjatek. Cóż tam w tem zawiniątku?"

„Druga flaszka wódki, głupcze", odrzekła Gilowa, „chciałam ją przemycić i zrobić wam obydwom prezent, ale jak nie chcecie, to się obejdzie".

„Ale, ale, byłoż od razu tak mówić", rzekł portjer. „Kobieta z piekła rodem z was, ale mój gust!"

„Prędzej tylko, idźcie na górę, wypijcie i złaźcie co prędzej, druga będzie już na was czekała".

Portjer nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć i znikł z palaczem za drzwiami.

W następnej chwili schyliła się Gilowa, porwała za pas przymocowany na obydwóch rączkach taczek, zarzuciła na szyję i jak mogła najprędzej popchała taczki przez podwórze ku drzwiom, do których miała już klucz.

W okamgnieniu otworzyła je, zatrzasnęła niemi i dalejże do lasu.

Nie było minuty do stracenia, wiedziała, że wnet wrócą portjer i palacz, — a spostrzegłszy, że trumny z trupem niema, narobią hałasu.

Portjer zostawał już tak dawno w służbie u doktora, że stał się prawie podejrzliwym, jak jego pan, — niechybnie domyśli się, że mu figla wypłatano, zamelduje to doktorowi, a ten poruszy niebo i ziemię, by Gilową z uprowadzonemi zwłokami dostać w swoje ręce, — nie wiedząc, lecz podejrzewając tylko, że się coś święci.

Gilowa już w lesie, — coraz głębiej zapuszczała się w gęstwinę, nie spoczęła ani na chwilę, choć jej pot wielkiemi kroplami spływał z czoła. W końcu ręce się trząść zaczęły, nogi odmawiać posługi, upuściła taczki.

Oglądnęła się w koło, cisza w lesie wokół potężne pnie drzew i gęste krzewy, — tu dobre miejsce.

Szybkim ruchem odrzuciła wieko z trumny a w następnej chwili blada jak śmierć podniosła się Anielcia.

„Och, co za straszne były chwile", zawołała zaciągając silniej na siebie płótno, którem była owinięta. „Gilowo, — wyście mi życie uratowali, gdyby nie wy, popadłabym była na nowo w moc doktora, a wtedy —"

„Jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło, musimy prędko uciekać, a najlepiej by było, gdybyśmy się mogły skryć w jakiej norze. Za lada chwilę usłyszymy głosy ścigających nas, — oho! Słyszysz? Doktór ze swymi ludźmi!"

„Chyba nie", odpowiedziała dziewczyna, chłonąc z przerażenia, „słychać szczekanie psów, to pewnie musi być polowanie".

„A polowanie", zaśmiała się drwiąco Gilowa, „i to nie lada polowanie, — to psy gończe doktora, który je wypuszcza na tych, co z jego zakładu uciekają!"

XXXIII.

Ścigana przez psy gończe

Słowa te napełniły Anielcię przerażeniem. Krzyknąwszy rzuciła się w las i goniła tak prędko, że Gilowa z trudnością tylko nie traciła jej z oczu.

Ujadanie psów słychać było bliżej i coraz bliżej, — a i blask pochodni, ciemności lasu zwolna rozświecających ucie-kający za sobą spostrzegli.

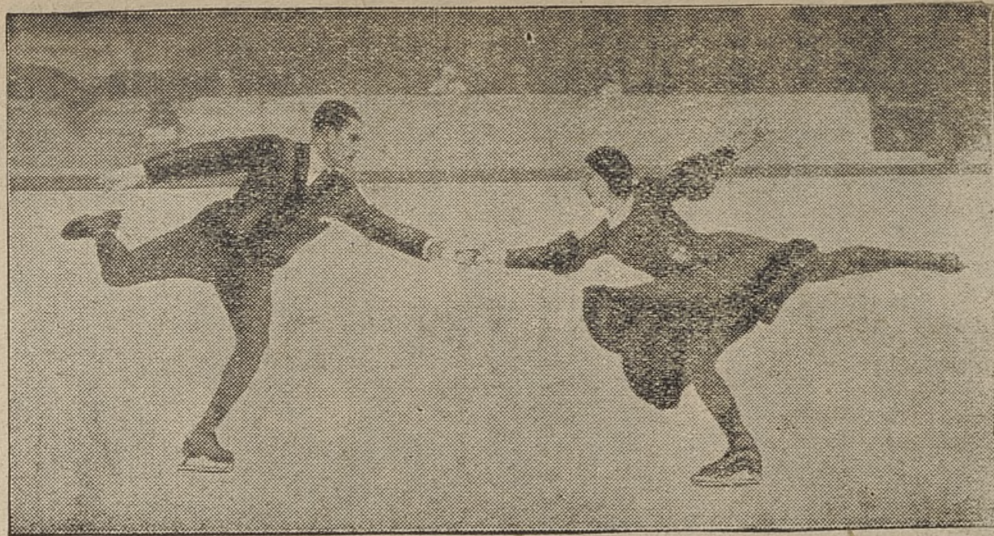
Dalej, tylko dalej w gęstwinę, nie bacząc na to, że ciernie suknie ich szarpały a łopiany się włosów czepiały.

A jednak mimo to wszystko pierś Anielci rozsadzała niemal radość i zachwyt, — które strach tłumiły.

Wolna, — po tylu długich tygodniach oddychała powietrzem wolności, — a powietrze to było nadto w tej chwili balsamicznem powietrzem lasu.

Po tylu tygodniach mogła nareszcie posłać wzrok — hen! Ku gwiaździstemu niebu, do tych gwiazd świetlanych i nie przez kraty swej dawnej celi. I zdawało się jej, jakby te gwiazdy do niej mrugały, uśmiechały się, dodając otuchy i nadziei.

I tę nanowo odzyskaną wolność miałaby utracić, raz jeszcze popaść w ręce tego strasznego potwora - człowieka? — Nie i nie! za nic w świecie! Ratować



Pierwsze miejsce w łyżwiarskich mistrzostwach świata w Budapeszcie w jeździe figurowej parami zajęła para węgierska Rotter—Szolas.

się musi, całą swą siłę zbierze, by tylko ujść przed pogonią.

„Nie tam!" ozwał się głos Gilowej, tamtędy droga do parowu, wpadniemy jak myszy do pułapki. Prosto przez gęstwinę, — może się nam uda dotrzeć do rzeki."

„Do rzeki? Przecież to gorzej!" odpowiedziała Anielcia, której już w biegu oddechu brakowało. „Rzeka przetnie nam drogę a wtedy jesteśmy stracone."

„Gdyby czółen nie było, a ja liczę na to z pewnością, że je na brzegu znajdziemy. Często tam leżą łodzie, kto wie, czy i do kogo należą, zdaje mi się nawet, że tu gdzieś w pobliżu jest warsztat budowy małych okrętów. Niech tylko mamy rzekę poza sobą, doktor Morizano nic nam nie zrobi."

„Do rzeki więc!"

Wysiłkiem woli, kroku, co można tylko było, przyspieszyły, — do rzeki dobić się musiały, — za każdą cenę.

Wtem tuż w pobliżu trzask łamanych gałęzi, — zachrypłe psów skowyczenie, — psy gończe doktora tuż za niemi.

„Prędzej, — na Boga, prędzej, — bo wszystko stracone!"

Pomimo niewymownych, przebytych cierpień, które Anielcia w ostatnich czasach wycierpiała, — mimo osłabienia spowodowanego przebywaniem między murami i wdychaniem stęchłego powietrza, — pomimo znużenia, które na jej nerwach osiadło, biegła przecież prędzej jak Gilowa, której siły nie wiek, ale opilstwo, a może i inne występki podkopały.

Za każdym krokiem coś, jakby jej w piersiach świstało. Co dwie, trzy minuty stawać musiała łapiąc oddech, — twarz jej była wprost koloru sinego.

„Astma, — przeklęta astma! Znowu napada mię, — doktor przepowiadał mi, że zginę kiedyś od takiego napadu na udar serca. — Anielciu, nie opuszczaj mnie, ja nie mogę dalej, — och, te psy! Tylko nie paść ich ofiarą, — raczej napowrót do doktora, — raczej w jego ręce, tylko nie być poszarpaną przez te straszne bestje!"

Bezwątpienia mogłaby Anielcia się uratować, gdyby Gilową zostawiła na los szczęścia i o sobie tylko myślała. Ale taka myśl nawet jej w głowie nie postała, — nie! Przyskoczyła do Gilowej, ujęła ją w swoje ramiona, — podniosła ją niemal i ciągnęła na pół kobietę, która ledwie dysząc, całkiem na niej się opierała.

„Wyście Gilowo nie opuściła mnie w nieszczęściu," mówiła do niej Anielcia, „toż i ja wam przysięgam, że was samej nie zostawię, — albo razem albo żadna z nas!"

„Ach, gdybyśmy tylko miały jaką broń", wyjęknęła kobieta, „strzelbę lub rewolwer, wtedy nie trudno byłoby powalić te bestje".

„Broń, — nie macie choć noża przy sobie?" zapytała Anielcia.

„Nóż? — Tam do licha, całkiem o nim zapomniałam, mam w kieszeni — do krajania chleba, — klinga wprawdzie ostra, ale to za słaby, by co można nim zrobić!"

„Lepiej coś, jak nic! Dawajcie go tu, co prędzej, może i z niego zrobić się da użytek".

Gilowa wyciągnęła drżącą ręką nóż składany z kieszeni i podała Anielci.

Ta szybkim ruchem otworzyła go, — w tej samej prawie chwili ozwało się dzikie skowyczenie tuż, tuż za niemi, — a w ślad za niem ujrzały i czerwone krwią nabiegło oczy psa gończego z za pnia drzewa wyglądające. Z obwisłym językiem, najeżonymi kudłami, — istny smok, czyhający na ofiarę niewinności.

„Pies, — pies!" wrzasnęła ze strachu Gilowa, „a teraz już po nas!"

„Cicho! Ani się nie ruszcie, — gotuje się do skoku, którą z nas wpierw wybierze na ofiarę?"

Nie długo czekały, — pies przyczaił się do ziemi, a następnie skoczył jak tygrys, — na Gilową, i powalił ją o ziemię.

„Umieram, na pomoc, — ratujcie!" wołała Gilowa odrętwiałym głosem, — straszna rozpacz malowała się na jej twarzy, oczy wylazły na wierzch, a czoło potem się oblało.

Zanim jednak pies zdołał zatopić swoje kły w szyję Gilowej, trafił go w szyję z lewej strony cios, zadany nożem z ręki Anielci.



W Łomnicy, w Tatrach Wysokich, odbyły się międzynarodowe zawody narciarskie, w których m. in. startowali Polacy. Na zdjęciu Łomnica w morzu flag w dniu otwarcia turnieju.

Pies zawył z bólu, podniósł się, — zdawało się, że się rzuci teraz na Anielcię, — ale w tejże chwili padł, jakby piorunem rażony, — nieba snać kierowały ręką Anielci, — bo przecięła wielką żyłę tej bestji.

I wiło się psisko w ostatnich podrygach, rozrzucając suche liście, które wiatr jesienny z drzew postrącał. — Anielcia tymczasem poskoczyła do Gilowej i pomogła jej podnieść się.

„Dalej, — tylko dalej!" szeptała Anielcia do napół nieprzytomnej, „oprzyjcie się mocno o mnie, — ja was nieść będę, jak tego trzeba. — Może już rzeka niedaleko, — Bóg, co nas teraz uratował, nie da nam może zginąć. Pst! Głosy słychać! To doktór ze swymi ludźmi, dalej, — tylko dalej —"

Z niewymowną trwogą opuściły miejsce, gdzie pies już znaków życia nie dawał, pędziły tak przez kilka minut, nie oglądając się poza siebie.

Okrzyk radości wyrwał się nagle z piersi Anielci:

„Gilowo, słyszycie szmer wody? Chyba tylko kilka kroków mamy jeszcze do brzegu rzeki, — już i widać kraj lasu i światło księżyca przez drzewa się przedziera, — tylko kilka kroków. — Bóg nas wyrwał z toni. On nas nie opuści, Imię Jego bądź pochwalone!"

Anielcia się nie myliła. Po minucie dalszej drogi znalazły się u brzegu rzeki, — strumień jej był oblany blaskiem przyświecającego księżyca, który się w niej jak kokietka przyglądał.

Po obydwóch brzegach rozciągały się lasy, — korony drzew liściastych zwieszały się niemal do samego zwierciadła wody.

Widok, jaki się w tem miejscu roztaczał, nie był w stanie w obecnej chwili spętać wzroku idealnej dziewczyny i przykuć go do siebie, — myślała o czem innem, — strach ogarnął ją nanowo, bo jak daleko i szeroko wzrok sięgał, nie widać było ani łodzi żadnej, ni czółna.

A pogoń coraz bliżej, — powinnyby się były już dawno znajdować na drugim brzegu, snać dłuższą w bok niepotrzebnie przebyły drogę, która im kilka minut czasu zabrała. Anielcia znakomicie pływała, od biedy mogłaby wskoczyć do wody i niezawodnie udałoby się jej przebyć rzekę.

Ale była nie sama, — Gilowa uczepiła się obydwoma rękami napół nieżywa ze strachu i zmęczenia, z twarzą koloru miedziano — czerwonego, ledwie dychając, — obraz wsiętrny i budzący litość zarazem. Czyż mogła Anielcia pozostawić ją samą, — wydać na pastwę ścigającemu losowi?

A czas naglił, — każda następna minuta mogła przynieść zgubę, — coś trzeba robić i to bez namysłu.

Na chwilę przebiegła jej myśl przez głowę, czyby się jej nie udało przenieść przez wodę, — ze niedorzeczną jednak była, by się nad nią dłużej zastanawiać; nurty rzeki niezawodnie pochłonęłyby je obydwie, — co tu począć, co począć?

W tem z poza małego ostrowu, jakim się brzeg w rzekę wrzynał, ukazała się mała łódź, sterowana przez młodego mężczyznę, — z nadzwyczajną szybkością zbliżała się do brzegu.

„Boże! — Ach, gdyby też! Ta łódź, — to ratunek. Gilowo, siądźcie na chwilę, ja błagać będę tego człowieka młodego, by się nad nami ulitował," mówiła Anielcia.

W tej chwili łódź przesuwała się tuż przy samym brzegu.

„Panie, chwilkę, na chwileczkę tylko!"

Młody człowiek objął wzrokiem Anielcię, która zawsze jeszcze za cały strój białe płótno tylko miała; ten dziwny kostjum na dziewczynie, która w całej pełni rozkwitu swej dziewictwem okraszonej piękności, z cudną swą ciemnymi lokami otoczoną twarzyczką, wzrokiem błagalnie wzniesionym, całą wogóle jak w marmur zakutą postacią na ciemnym tle lasu, robiła wrażenie rusałki co z wody powstała, by syrenim swym głosem wabić w otchłań, — zawahał się młody człowiek, przeląkł i zrobił gwałtowny ruch wiosłem.

„Nie bój się, panie", błagała Anielcia, „jam nie żadne nadzwyczajne zjawisko, — jam tylko biedna, nieszczęśliwa dziewczyna, przez złych ludzi ścigana. Później, — opowiem wszystko, — a teraz ulituj się naszej niedoli, zabierz nas do swej łodzi, byle tylko stąd jak najprędzej".

Młody człowiek uchylił kapelusza; długie kędziory włosów, kalabryjski kapelusz i aksamitna kurtka w połączeniu ze szlachetnością rysów twarzy kazały domyślać się w nim artysty, — malarza, odbywającego przejażdżkę łódką dla przyjemności.

„W tej chwili jestem cały na usługi pani", zawołał nieznajomy, podnosząc się w łodzi, — „proszę tylko o chwileczkę cierpliwości".

W stosownem miejscu, gdzie dostęp był łatwy, przybił do brzegu i nieminęła chwila, jak Anielcia nieprzytomną prawie Gilową nawpół wniosła do łodzi, — następnie wstąpiła sama i zsunęła się na ławkę ze znużenia, szepcąc tylko:

„Dzięki, stokrotne dzięki, — Bóg zapłać panu za to, coś dla nas uczynił".

„Już tu", krzyknęła w tej chwili przerażona Gilowa, wskazując na rysujące się na ciemnem tle lasu postacie, „uciekajmy co prędzej, to doktór ze swymi ludźmi, inaczej nasza zguba!"

Malarz, — bo rzeczywiście był nim młody człowiek, — zrozumiał sytuację, kilkoma silnemi pchnięciami odbił od rzegu, kierując łódź ku przeciwnemu brzegowi strumienia.

„Gdyby pani mi pomóc zechciała", zwrócił się malarz do Anielci, „tem prędzej uszlibyśmy przed pogonią, — na każdy sposób niema najmniejszego powodu do obawy; ci ludzie nie mają żadnej łodzi, bezpieczni więc jesteśmy przed nimi".

I tak było w istocie. Doktorowi Morizano, bo on to był sam we własnej osobie, — wyrwał się krzyk bezsilnej wściekłości, gdy zobaczył, jak łódź z jego zbiegami szybko po tafli strumienia mknęła; chwilę namyślał się; sposobu dalszej gonitwy na razie nie było, — co robić?

Kompromitować się dalej nie chciał, kazał więc ludziom zawrócić napowrót do zakładu.

Malarz i Anielcia pracowali tymczasem; z całej siły, na jaką ich stać tylko było, wiosłowali, — jak ptak też mknęła łódź.

Przez cały ten czas panowało między nimi milczenie, — ani słowo nie padło, ale wzrok malarza tem głośniej mówił, — bo nieustannie, bez przerwy niemal spoczywał na tej ślicznej, młodej dziew-

czynie. Jakby się nie mógł nasycić, ślizgając się to po jej szlachetnym profilu, to po wspaniałych, jedwabnych splotach włosów, to po kształtach, które tem ponętniej z pod białego płótna, kunsztownie mimowoli, instynktownie udrapowanego, odbijały.

Milczenie przerwała pierwsza Anielcia, przestając wiosłować:

„Nie czuję już ramienia, — proszę mi darować, ale nie mogę dłużej, — to wszystko, com w ostatnich czasach wycierpiała, wyczerpało me siły".

„O, dziękuję pani za pomoc, — dalsze natężanie się z pani strony byłoby i tak zupełnie zbyteczne, bo z pogoni ani śladu nie widać. Pojąć tylko nie mogę, że może się znaleźć ktoś, ktoby pełen nienawiści ścigać mógł panią, — proszę darować memu porównaniu ale to tak wygląda, jakby wrony chciały w locie wstrzymać anioła".

Lica Anielci pokryły się karminem rumieńca, — pochlebstw ze strony mężczyzn nie znosiła zresztą; zacny Dubois wpajając w nią szlachetne zasady, któremi się ma w życiu kierować, — między innemi wcześnie już otworzył jej oczy i pouczył, jaką ma wartość przywiązywać do miodowych słów płynących z ust mężczyzn wobec pięknej zwłaszcza kobiety. A jednak tym razem i to pochlebstwo tak ją przyjemnie połechtało, chociaż zdawało się jej, że nie treść słów ale same słowa, raczej melodyjny głos tego człowieka taką przyjemność jej sprawia, — brzmiał jak muzyka, — a nadto ona mu była tak wdzięczna, że się nią i Gilową zajął.

„Rozumiem, mój panie," rzekła Anielcia, „żem ci winna wyjaśnienia. — Strój, który mam na sobie, dziwny zanadto może, a sposób, w jaki pan nas poznał, bądź co bądź, wielce niezwykły. W tej chwili opowiedzieć panu wszystkiego nie mogę, — niech tych kilka słów na razie wystarczy: Wprost, jak mię tu pan widzi, uciekam z zakładu obłąkanych doktora Morizano, — niech się pan nie boi, — jam nie chora, najzdrowsza w świecie na umyśle, — siłą, przemocą mnie tam trzymano, — spodziewam się, że sprawa moja będzie przedmiotem ogólniejszego zajęcia się, — jestem bowiem zdecydowana przed całym światem oskarżyć tego nikczemnika".

„Pani", odparł malarz, „nie mam najmniejszego prawa wdzierać się w tajemnice jej życia, to, com uczynił, to tak małoznaczące, że nie warte wspomnienia, — każdy inny byłby na mojem miejscu tak samo postąpił. Ale pozwoli pani, że się jej przedstawię: Władysław Mroziewicz, — nazwisko ojca mego, który jest właścicielem banku w stolicy, zapewne pani nie jest obcem".

„Nie znam nikogo, mój panie, w mieście, jam obca".

„Jakto, żadnych krewnych?"

„Nie, mój panie!"

„To przyjaciół życzliwych może?"

Anielcia miała już na ustach imię Kazimierza, — ale nie wypowiedziała go. Zamski był w więzieniu, straszno podejrzenie ciężyło na nim, — po co ewentualnie nasuwać mu podejrzenie, że nieprawdę mówi i z powodu jakiej zbrodni może była ścigana.



Liljana Harvey, słynna gwiazda filmowa, wita się z matką, po powrocie z Ameryki.

„I to nie", odparła Anielcia, „nie mam, jak mówię, nikogo".

„W takim razie", rzekł malarz, „niewykluczonem jest, że będzie pani potrzebowała rady albo pomocy. Proszę panią bardzo o to, w danym razie zechce pani zwrócić się do nas, odwiedzić nas, — siostra moja Kornela cieszyć się będzie, że będzie panią mogła poznać, — o tem jestem jak najmocniej przekonany".

W tej chwili wypłynęła łódź z pod mostu i ukazały się światła, — puls życia tętniącego w mieście.

„Możebyśmy mogli tu już wysiąść", ozwała się Gilowa, która tymczasem przyszła już do siebie. „Lepiej będzie, jeżeli poza miastem wysiądziemy, — strój panienki nie nadaje się do tego, byśmy przez miasto iść miały".

Malarz zatrzymał łódź przy schodach drewnianych, wyskoczył pierwszy i uwiązał ją do pala.

„Czy mam się postarać o dorożkę dla pani?" zapytał, podając rękę przy wsiadaniu, „o kilka minut drogi stąd stoją".

„Nie, dziękujemy", przerwała Gilowa, „stąd mamy już nie bardzo daleko do domu".

„Do domu?"

Malarz zdziwionym wzrokiem zmierzył Gilową, nie mogąc pojąć, by to miłe, pełne wdzięku dziewczątko pod jednym dachem z kobietą, wstrętem przejmującą, przebywać miało.

„Mój panie", zabrała głos Anielcia, wyciągając obydwie ręce do malarza, „pan nie przeczuwasz pewnie w tej chwili, jak wielkie dobrodziejstwo nam wyświadczyłeś, — powiem tylko na razie, — że po Bogu panu może życie moje zawdzięczam, — przyjm tedy moje najserdeczniejsze podziękowanie".

„Pani mię zawstydza", rzekł wzruszony artysta, „cieszyć mnie będzie bardzo, jeżeli pani w razie, gdyby potrzebowała pomocy życzliwej osoby, zechciała sobie mnie przypomnieć. — Dom nasz znany jest w całem mieście, małym dzieciom nawet nie obcy. Zresztą bardzo łatwo go znaleźć, — znajduje się tylko o kilka minut drogi od książęcego zamku a ogromne litery szyldu mimowoli wpadają w oko każdego przechodnia. Mogęż więc żywić nadzieję ujrzenia pani?"

„Nie obiecuj niczego", szepnęła jej kobieta i zanim Anielcia odpowiedzieć zdołała, rzekła spiesznie Gilowa:

„Córka moja w tej chwili nic pewnego obiecywać nie może; prawdopodobnie udamy się wkrótce w podróż. Po powrocie nie omieszka skorzystać z pańskiego zaproszenia, — a teraz chodź, Anielciu, — czas już najwyższy."

Mroziewicz rzucił wprost gniewne spojrzenie na Gilową, — nawet tych kilka minut, w których mu było danem pomówić z nadobną dziewczyną, starała się skrócić ta obrzydliwa kobieta. Pohamował się jednak wnet, schylił się szybkim ruchem, ujął rączkę Anielci, wycisnął na niej gorący pocałunek, poczem nie skinąwszy nawet głową Gilowej, oddalił się pospiesznie, jakby czuł, że każda następna chwila przykuwać go coraz więcej będzie i że tem cięższem mu rozstanie uczyni.

„Możeby mu przecież podać nasz adres", szeptała Anielcia Gilowej, „kto wie, może rzeczywiście jego pomocy będę potrzebowała, — zdaje się być bardzo poczciwy człowiek, — z oczu mu to patrzy, — powinnam go się była przynajmniej spytać, gdzie mieszka obrońca doktor Edward Skopowski."

„Ani mowy o tem," zawołała Gilowa niemal rozkazującym głosem, „teraz przedewszystkiem ostrożność nam potrzebna, — doktor Morizano ma wszę-

dzie, na każdym kroku szpiegów, — a wpływy jego są większe, jak ci się może zdaje! Tak, tak, moja gołąbko, z kilka dni musisz się ukrywać przed światem w mojem mieszkaniu, — na takie jak ty ptaszyny niejeden krogulec w mieście czyha.“

Anielcia nie rozumiała wprawdzie dobrze właściwego znaczenia tych słów, które jednak do serca jej trafiły. Poczuła wdzięczność do Gilowej, — bo w słowach jej objawiała się troska o nią i życzliwość. Pełna też zaufania, z ochotą szła z Gilową, która teraz w boczną ulicę skręciła.

Ciemno było dość w tej uliczce, — zaledwie kilka latarń oświecało ją całą, — wystarczało i to do zwrócenia uwagi nielicznych przechodniów na Anielcię.

„Jak ja się żenuję, jak ja się wstydzę, — wszyscy kto przechodzi tylko, — patrzą na mnie jak na obłąkaną w tym dziwacznym kostjumie, ściągniętym z biednej Edyty.“

„To najmniejsza“, mruknęła Gilowa, „teraz maskowych balów bez liku; ot, ludzie myślą sobie, że pewnie na bal maskowy idziesz, — zresztą jeszcze tylko kilka kroków, — teraz na prawo i jeszcze raz w bok i jesteśmy bezpieczne.“

Rzeczywiście, — w kilka minut później stanęła Gilowa przed małym, napół zapadniętym domkiem, wyciągnęła klucz z kieszeni i otworzyła nim brudne, poczęści strupieszałe drzwi domu.

XXXIV.

W domu Gilowej

Strach ogarnął Anielcię, gdy się przy świetle łojówki, znajdującej się na stopniu, którą Gilowa zapaliła, obejrzała w sieni. Dom był w stanie wprost przerażająco opuszczonym. Do tego wilgoć na wszystkich ścianach. Przy blasku światła lśniła się miljonami kropel wystąpionemi z murów.

Gilowa doszła do drzwi, które były na samym końcu korytarza, pchnęła niemi, — i Anielcia znalazła się w pokoju, całkiem znośnie urządzonym, ale brudnym do niemożliwości niemal.

„Rozgośćże się teraz“, rzekła Gilowa, „teraz dopiero możemy mówić, żeśmy uratowane. — Poczekaj, moja gołąbko, zaraz ci suknię przyniosę, — ubierzesz się w nie, — będziesz wyglądała jak księżniczka.“

Mówiąc to zaświeciła lampę, zwieszającą się od sufitu ponad stołem, — przysunęła krzesło Anielci, starła z niego fartuszkiem kurz i weszła do alkierza, — słychać było tylko wsuwanie i wysuwanie szuflad i otwieranie szaf.

Po niejakim czasie wyszła niosąc w rękach ku zdziwieniu Anielci bardzo ładną i na oko kosztowną, granatową suknię, i to niemal całkiem nową do tego.

„No, gołąbko moja“, rzekła Gilowa, rozkładając suknię przed Anielcią, „jak ci się ten kostjum podoba, — co, — ładna suknia?“

„Ależ cudowna“, odpowiedziała dziewczyna, „ale powiedźcież mi, Gilowo, skąd wy do niej przychodzicie?“



Wiedza lekarska poczyniła w ostatnim wieku wielkie postępy. Dawniej leczono ludzi prymitywnymi środkami — oto np. okulary, przy pomocy których niegdyś leczono zeza.

„Nie posądzisz mnie przecież, żem ukradła? — Co to, — to nie, Gilowa uczciwa kobieta? Pytaj sąsiadów, wszyscy to przyświadczą, że mi zaufać można. — Ot, — miałam siostrzenicę, mieszkała tu ze mną w tym domu, — kochałam ją jak własne dziecko, — od małżeństwa ją wyhodowałam, ale — ot ludzie ludźmi, — zaledwie skrzydełka jej podrosły, nie chciała słyszeć więcej o starej Gilowej, — pewnego pięknego dnia uciekła z kochankiem.“

„Z kochankiem!“

Słowo to zadrasnęło Anielcię w jej uczuciach, — jak to ohydnie brzmiało!

„Zdaje mi się, że masz mniejwięcej tę samą figurę, co ona“, ciągnęła dalej Gilowa, „w czem jej było do twarzy, będzie zdaje się i tobie! — Precz więc z tem płótnem, — ubieraj się, co prędzej, bo niewykluczonem jest, że dzisiaj jeszcze mieć będziemy wizytę.“

„Wizytę?“ pytała zdziwiona Anielcia.

„A tak, — — daleki kuzyn mój, Rosjanin; niedawno sam się zaprosił. Smukły, wysoki mężczyzna a przytem bogaty, — niezmiernie!“

„Czemże się to dzieje, żeście, Gilowo, mając takich bogatych krewnych, taka biedna?“

„Niedoświadczenie mówi z ciebie,“ mówiła Gilowa, pomagając równocześnie Anielci przy ubieraniu się, — buciki, pończochy zdjęła jej nawet sama, co chwila zaręczając, że tak pięknych i zgrabnych nóżek dotychczas w życiu nie widziała. „Krewni, ot jak to krewni! — Ile razy przyjedzie kuzynek z Rosji, Gilowa napije się z lampeczkę wina, — najrozmaitsze potrawy a i szampana nasyła, — ot, — i tak kilka dni lub godzin przepędzi się wesoło, — ale pieniędzy żądać od niego, — to znowu co innego, — Gilowa ma swoją ambicję, — za dumna jestem, bym miała przyjmować.“

„Dumna wobec krewnych, mojem zdaniem, wcale nie na miejscu. Ależ, Gilowo, dziękuję bardzo, ale ja nie jestem przyzwyczajona, żeby mi buciki i pończochy zdejmowano, — ja sama już to sobie zrobię.“

Zgrabnie dokończyła swojej toalety.

Ze sukni, którą jej Gilowa dała, była nadzwyczaj uradowaną, tylko nie z powodu oczekiwanych odwiedzin, jak to sądziła Gilowa, lecz z innego zupełnie powodu.

Anielci silnem postanowieniem było, jeszcze tej samej nocy wyszukać obrońcę doktora Skopowskiego, i to za każdą cenę, gdyby go nawet ze snu budzić miała.

Czuła, że nie ma prawa tak wielką i ważną tajemnicę utrzymywać przy sobie, — Kazimierz męczył się w więzieniu, każda minuta była drogą, — nie mogła i nie powinna też ani minuty tracić i tej jeszcze nocy musi się obrońca dowiedzieć, że zbrodniarzem jest Robber, który popełnił zamach na osobie Elzy Rodeń i że Kazimierz jest niewinny, — i niewinnie więziony.

„Ale jak ty ślicznie wyglądasz!“ zawołała Gilowa, obchodząc Anielcię ze wszystkich stron, „co za figura, — księżniczka piękniejszej mieć nie może! A jaka budowa, — jakby cię rzeźbiarz z marmuru wyciosał! — A loki, — ależ to też śliczne masz włosy, — a nóżki, — a co! Buciki nie ładne, — prawda? Skórka mięciutka, a jaka elegancka robota, — nie dziw, kosztowały też 28 koron i 50 halerzy. — Ale, ale jeszcze coś, zaraz ci przyniosę, moje kochanie, — coś, co cię nadzwyczaj zdobić będzie. — O, stara Gilowa, jak kogo polubi, gotowa wszystko dla niego zrobić; — masz tu tę małą, złotą broszkę, perłami wysadzaną, — przypnij ją u szyi, będziesz widziała, jak ci to będzie do twarzy. — Tak, a teraz popatrz do lustra, — masz wzrost, powiadam ci, i elegancję, że nie z byle kim możesz iść w zawody.“

Gilowa przyniosła małe lusterko, które krzywo wisiało na ścianie, — potrzymała je Anielci, która ciekawe na nie rzuciła spojrzenie. W następnej chwili zdjął ją strach, — potrząsając głową zwróciła się do Gilowej.

„To rzeczywiście bardzo kosztowny klejnot“, rzekła, „bo ma nietylko perły, ale i brylant, jeżeli się nie mylę, prawdziwy. — Będąc w Paryżu mieszkałam z ojcem Dubois w jednym domu z szlifierzem djamentów; ten nauczył mię rozpoznawać kosztowne kamienie!“

„Tak, — tak, to prawdziwy brylant!“ zawołała Gilowa, ja ci go też nie daję, tylko pożyczam! — Nie mogłabym, gdybym nawet chciała. — Kto to wie, może kiedy i w biedę popadnę, a wtedy klejnot ten będzie moim ratunkiem.“

„A skądże przyszliście do niego?“ pytała Anielcia, mimowoli porównując liche urządzenie całego domu z kosztowną broszką, którą miała teraz u szyi.

„Skąd ja ją mam? — Broszkę tę, — miała, — — moja siostrzenica, — moja mała Lola.“

„Wasza siostrzenica Lola się nazywała?“

„Lola powiedziałam? — — Tak, tak, — Lola nazywała się, — niewdzięczne stworzenie —“

W tej chwili umilkła, bo dało się słyszeć pukanie do drzwi.

HUMOR

Przedsiębiorczość

W firmie „Kac, Kotek i S-ka“ pracuje w charakterze buchaltera pan Piórkiewicz. Niska pensja i wiele kłopotów doprowadziły do tego, że pan Piórkiewicz jest wiecznie zdenerwowany, przepracowany, zaaferowany.

Wreszcie zdobył się na odwagę i poszedł do szefa.

— Panie dyrektorze... Jestem już u pana od dziesięciu lat buchalterem i pracuję za ?ch, wobec czego muszę pana prosić o podwyżkę....

— O podwyżce niema mowy — odezwał się dyrektor — ale niech mi pan wskaże tych dwuch urzędników, za których pan pracuje, to ich z miejsca oddalę...

Odwrotny świat

— Kiedy pan swoją żonę poznał i pokochał.

— Było właściwie odwrotnie, najprzód ją pokochałem, a potem poznałem.

Pytanie

— To jest prawdziwy płaszcz deszczowy. W nim nie będzie pani wcale czuła, że deszcz pada.

— A skąd ja się dowiem, że deszcz przestał padać?

Nie zdążył

Chłopiec przychodzi do domu w strasznie zabłoconych spodniach. Matka widząc to, pyta się:

— Bój się Boga, chłopcze, gdzieś ty był?

— Wpadłem do rowu....

— Jakto, w nowych spodniach?

— Wpadłem tak prędko, że nie zdążyłem zdjąć spodni.

Roztargniony

Podczas jednego z ostatnich wietrznych dni wiatr zerwał z głowy kapelusz profesorowi Chwalirybce. Profesor puścił się za nim pędem i z trudem go złapał. Stanął zadyszany, i zaczął czyścić kapelusz z błota. Wtem zbliża się jakiś pan, bierze mu z ręki kapelusz i mówi:

— Dziękuję bardzo.

— Co pan robi, przecież to mój kapelusz! — woła profesor.

— Nie panie! Pański kapelusz wisi na gumce na pańskich plecach.

Logika kobieca

Pan Świstał spotyka o 3-ej nad ranem pana Fajfra, podśpiewującego sobie pod nosem i idącego wcale nie w kierunku swego mieszkania. Bierze go więc pod ramię, potrząsa i pyta:

— Panie Fajfer, czemu pan nie idziesz do domu?

— Poszedłem, ale żona mnie wyrzuciła.

— Za co?

— Za to, że do domu nie wracam!

Patrjotyzm

Przed wystawą sklepową, gdzie wisi wielki napis: „Obywatele!... Kupujcie krajowe wyroby!“ zatrzymuje się jakaś para. Ona — elegancka, młoda, on — jak to on... Przez kilka minut prowadzą przyciszoną rozmowę, wreszcie z ust jej wyrywa się następujące głośniejsze zdanie:

— Jeżeli nie potrafisz być mężem, to spełń przynajmniej swój obowiązek jako patrjota i kup mi tę suknię!

Gwiazda spadająca

Adamski i młoda jego żona spacerują wieczorem. Noc jest cudna i romantyczna. Niebo wygwieżdżone. Nagle wspaniała gwiazda odrywa się od koła swych sióstr i leci, świecąc, przez granatową przestrzeń.

— Życzysz sobie czegoś, a prędko — woła Adamski — tylko... proszę cię, nie odemnie.

Roztropna

— Marysiu, dziś będziemy mieli gości. Pamiętaj o tem podczas przygotowania obiadu.

— Dobrze, proszę pani. Czy mam tak ugotować, aby przychodzili często, czy też tak, aby nas zostawili w spokoju?

OGŁOSZENIA DROBNE

Wyraz 10 groszy. Dla poszukujących pracy 1 ogłoszenie do 10 słów tylko 50 groszy, do 20 słów 1,— zł, do 30 słów 1,50 zł i t. d. Należność przesyłać można w znaczkach pocztowych.

Dla kuzynki, ciemnoblondynki lat 23, posiadającej wyprawę i trzy tys. zł gotówki, *szukam męża*. Zgłoszenia pod „zgrabna.“

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,30 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50% zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.